

# BLUSZCZ

*spoleczno-literacki ilustrowany  
tygodnik kobiecy*



*E.B.*  
1935

Nr. 7-16 lutego 1935 r.

Cena 1 zł. 20 gr.

Warszawa,  
Solec 87

# „BLUSZCZ”

społeczno-literacki  
ilustrowany tygodnik kobiecy

Ś-to Krzyska 17, m. 3, tel. 6-76-72.

Warszawa,  
Ś-to Krzyska 17 m. 3.

telefon 2-44-18.

telefon 6-76-72.

Redaktorka naczelna *STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW*.

Dział robót pod kierownictwem *JADWIGI KORZENIOWSKIEJ*.

Dodatek „Wychowanie i szkoła” pod kierownictwem *WANDY BORUDZKIEJ*.

Redakcja i Administracja Warszawa — Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-03.

KLISZE WYKONUJĄ WŁASNE ZAKŁADY FOTO-CHEMIGRAFICZNE

## Treść numeru:

*Jadwiga Krawczyńska*: „Nie jestem feministką”. *Aura Wyżężyńska*: „Temperatura dłoni”. *M. Kastarska*: „Matka”. *Marja Szpyrkówna*: „Morze roślin”. *Janina Łada* i *Walicka*: „Zaślubny Bałtyku”. *Jadwiga Korczakowska*: „Polskie morze”. *Hanna Skarbek*: „Córy Indyj”. „Z żałobnej karty”. Wychowanie i szkoła. *Zofja Sikorska - Bogusławska*: „Kim jest moje dziecko?”. *M. Czernkowska*: „Jędrus”. *Hanna Koryzna*: „Stosunek społeczeństwa do dziecka”. *S. P. O.*: „Z teatrów”. *H. N.*: „Z ubiegłego tygodnia”. *Stef. H.*: „Z życia ekranu”. Przegląd prasy. „Świat kobiecy w ilustracji”. Ogrodnictwo i hodowla. *Marja Dąbrowa*: „Skrapiami roślin”. „Tuczenie drobiu”. Dom i gospodarstwo. *Wanda Dobrzańska*: „Bierz to z uśmiechem”. *Melba*: „Przepisy kulinarne”.

## WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie — 4.50 zł., kwartalnie — 13.50 zł., rocznie — 54

Do innych krajów miesięcznie — 5.20 zł. Zmiana adresu — 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszcza” — Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17 m. 3.

Konto P. K. O. WARSZAWA Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Bluszcza”, Sp. z ogr. odp.

Pracownicy umysłowi korzystają z 20% ustępstwa.

## WARUNKI OGŁOSZENIOWE:

	zł.		zł.		zł.
$\frac{1}{1}$ str. tekstu	— 700.—	Okładka III-cia	$\frac{1}{1}$ str. okł.	— 500.—	Okładka IV-ta
$\frac{1}{2}$ „ „	— 400.—		$\frac{1}{2}$ „ „	— 250.—	
$\frac{1}{4}$ „ „	— 200.—		$\frac{1}{4}$ „ „	— 150.—	
$\frac{1}{8}$ „ „	— 100.—		$\frac{1}{8}$ „ „	— 80.—	
$\frac{1}{16}$ „ „	— 50.—		$\frac{1}{16}$ „ „	— 50.—	
$\frac{1}{32}$ „ „	— 30.—		$\frac{1}{32}$ „ „	— 30.—	
					zł.
				$\frac{1}{1}$ str. okł.	— 600.—

Przy ogłoszeniach seryjnych prosimy o żądanie ofert.

Ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń w kraju i zagranicą, oraz biuro Tow. Wyd. „Bluszcza” — Warszawa, Solec 87, tel. 6-26-44, 2-44-18 i 5-87-05. Cena artykułów reklamowych w tekście wedle specjalnej umowy.

Tygodnik „BLUSZCZ” ze względu na swoje liczne i szerokie sfery czytelniczek, jest doskonałym organem reklamowym dla wielu artykułów z dziedziny zainteresowań kulturalnej kobiety.

Czytelniczek „Bluszcza” powinny nabywać tylko te towary, które zaleca im ich ulubione czasopismo

W razie wypadków spowodowanych siłą wyższą, lub przeszkód w zakładzie, strajków i t. p., wydawnictwo nie odpowiada za regularne dostarczanie pisma i abonenci nie mają prawa domagać się niedostarczonych numerów lub odszkodowania.

# BLISKO

SPOŁECZNO-LITERACKI  
I LUSTROWANY  
TYGODNIK KOBIECY

JADWIGA KRAWCZYŃSKA

## „Nie jestem feministką“

Nie potrafię, niestety, wysnuć nici do dyskusji z artykułu p. Strzeleckiej. Artykuł ten powstał najwidoczniej z jakiegoś lokalnego natchnienia, na ciasnym terenie obserwacji. Autorka lekko przechodzi obok istoty zagadnienia i nie daje argumentów, upoważniających do wniosków o „kryzysie“ feminizmu. Kryzys feminizmu u p. Strzeleckiej wynikał z faktu, że jakieś, bliżej mi nieznane, bojowe „feministki“ okazały się nieznośnymi babami: mają wszelkie okropne wady, właśnie wady „kobiece“, właśnie te dulskie, te drażniące nerwy... Głupie plotkary, hysteryczki! — bardzo współczuję p. Strzeleckiej, że musiała mieć do czynienia z takimi typkami, ale dlaczego zemściła się za to na sprawie, której — jak się wszystkim zdawało — służyła dotychczas z prawdziwą zawziętością?

Apostazja, czy też efektowne przejście do obozu najmłodszych, tych, które „nie uznają feminizmu“ i kpią poprostu z feministycznych dążeń? Pani Strzelecka twierdzi, że właśnie kobiety najmłodszego pokolenia, dziewczątka i podlotki, nie sobie nie robią z równouprawnienia i nie dostrzegają różnic między mężczyzną a kobietą... Szczęśliwe dzieci!

Bez żartów — szczęśliwe! Urodziły się wtedy, gdy już istniała konstytucja i jakieś takie paragrafy o równouprawnieniu cywilnym kobiet, gdy na uniwersytet wchodzi się jak na mecz, gdy czternastoletniej damie nikt nie zabrania iść na ciastko do cukierni, ani na ślizgawkę z chłopcem, gdy nawet każe się jej uprawiać sporty i kuć naukę obywatelską i ekonomję polityczną. Jako dzieci już mają swoje organi-

zacje, swoje obozy harcerskie, swoje własne życie w swoim młodem społeczeństwie. Dorosłe mają możność wyboru kochanka i męża, mają swobodę studjowania i zarobkowania, mogą tak sobie życie ukształtować, jak im na to pozwolą ich własne siły, mogą rozwinąć swe zdolności, iść za swymi upodobaniami w nauce i sztuce, mogą równie dobrze być matkami liczego potomstwa, poprzestać na życiu rodzinnem i „zaczysu“ gospodarstwa domowego. Korzystają bowiem już ze zdobyczy feminizmu, tego właśnie feminizmu, który był walką, który doprowadził do rewolucji pojęć i ustaw.

Dzięki tej — w Polsce już przeprowadzonej — rewolucji, najmłodsze pokolenie kobiet ma pełne poczucie swego człowieczeństwa, swej równości wobec mężczyzn — osobistej i zbiorowej. Każda młoda dziewczyna wyśmiałaby tego, kto chciałby ją przekonywać, że jest mniej warta, gorsza, głupsza od brata lub kolegi tylko dlatego, że jest dziewczyną i że dlatego ma właśnie temu bratu i koledze ustąpić z drogi...

Bo dziewczyna dzisiejsza — dzięki znowu zwycięstwu idei feministycznych — ma już wrodzone pojęcie swych praw w społeczeństwie i chce bezwzględnie korzystać z tej swobody, która jej się należy narówni z młodymi chłopcami. Ma przed sobą otwarty świat i wszystkie drogi, wie, że jej na to pozwala prawo i obyczaj. Może zrealizować swój typ, najróżnorodniejszy, nie poddając się, jak kobiety poprzednich pokoleń, pod jarzmo jednego dla wszystkich standardu „powołania“, które dla wielu było grobem zdolności, twórczości i szczęścia.

Nie widzę w tem nic osobliwego, że młode dziewczęta nie zaliczają się do feministek. Bo poco i jakim zresztą prawem? Trzeba zostawić zaszczytną nazwę i uczyć zasługi tych, które naprawdę bojowały o prawa kobiet, które przeważnie poświęciły osobiste życie na rzecz walki o idee sprawiedliwości.

Czyż nie oburzałoby nas, gdyby młody chłopak chciał nazwać się dziś „bojownikiem o niepodległość“, i zaliczyć się do „obrońców Ojczyzny“, skoro urodził się już w wolnej Polsce, wywalczonej przez pokolenie poprzednie? Tem niemniej młody Polak współczesny jest duchem - niepodległościowcem, a wychowywany jest tak, by cenił i kochał państwową niepodległość, by jej bronił.

Zdaje mi się, że ta analogja jest jasna i nie pozostawia wątpliwości. Współczesne pokolenie kobiet jest i pokolenie następne będzie feministyczne już w samej swej istocie, będzie przepojone coraz bardziej poczuciem swych praw w społeczeństwie i będzie praw tych broniło faktycznie i realizowało nowe postępy ku wytworzeniu pełnego typu człowieczego, zamiast dawnej, skrępowanej w niewolniczych więzach, kobiety. Ale mówić o feminizmie, chwalić się feminizmem będziemy coraz mniej...

Feminizm jest dziś jeszcze wyśmiewany i ośmieszany przez tych wszystkich, którym jest nie na rękę: przez mężczyzn, powiedzmy delikatnie, ograniczonych i przez kobiety leniwego ducha. Mówiąc zaś językiem codzienności, nie widziałam durnia, któryby nie był — antyfeministą i nie uważał, że jego cenna męskość daje mu wolność pomiatania kobietą, choćby najmędrszą i najdzielniejszą, bijącą go na każdym polu. Nie widziałam także salonowej gęsi lub mieszczańskiej próżniaczki, któraby nie krzywiła się na „te feministki“, bo przecież te feministki wymagają od niej, by zaprzestała eksploatowania mężczyzny i sama pracowała, wydobyła ze swej nicności jakąkolwiek wartość społeczną.

Feminizm przyjdzie do swej gloriozy i u nas, tak jak przyszedł już do chwały i uznania w Anglii i w Ameryce Północnej. Pani Pankhurst ma dziś pomnik w Londynie, gdzie przed kilkudziesięciu laty lżono ją i więziono. Młodzi Anglicy są dumni ze swych matek i ciotek, które, jako sufrażystki, siedziały w więzieniu. Że były to „potwory, megery“? Że nie miały w sobie słodyczy i wdzięku kobiecego? Takiemi zrobiło je życie i walka w imię spraw cenniejszych, niż wdzięk i nawet niż słodycz domowego ogniska... Poświęcały je dla godności człowieczej, a walka oglądana z bliska nigdy nie jest czemś miłym i atrakcyjnym zewnątrz. Walka jest zawsze czemś przykrem, twardym, gorzkim, nieestetycznym, brutalnym, a apostołowie — od pierwszych chrześcijan do Gandhiego — są śmieszni. Cały sens walki leży tylko w tem, o co się walczy.

Dlatego trzeba zrozumieć i uczyć bohaterstwo kobiet, wyrzekających się atrakcyjnych walorów dla wyzwoleniczej idei — idei sprawiedliwości społecznej dla kobiety — i pozostawić im chlubną nazwę feministek.

Feministki polskie, te bojowe, od Narcyzy Żmichowskiej do żyjących jeszcze nesterek ruchu, trwającego lat 70, zanim utwierdziły swe idee w umysłach i w konstytucji, nie prowadziły brutalnej walki wręcz, jak angielskie sufrażystki, lecz były niemniej ośmieszane i zwalczane. Wskutek specyficznych warunków politycznych i cech właściwych temperamentowi polskiemu walka wyładowywała się w publicystyce, w anegdocie i w plotkach.

Nie było najścia na parlament, bo nie było parlamentu, nie obrzucano feministek, demonstrujących w pochodzie, zgniłemi jajami i nie bito ich na ulicach jak w Anglii, bo nie można było wogóle pochodu urządzać, ale oblewano je doborowemi pomysłami obelg i zniesławienia. Były męczennicami na swój sposób, ale cóż o tem wie i pamięta dzisiejsze pokolenie, które korzysta z owoców ich walki ideowej?

My, które przeżyłyśmy finał równouprawnienia, już niechętnie nazywałyśmy się feministkami. Z pośpiechem tłumaczmy się, że nie jesteśmy feministkami, wypieramy się szyldu, który jeszcze jest ośmieszony, przypomina dziwaczne postacie bojowniczek w pelerynach, bez pudru i z zaniedbaną aparycją...

Ale wszystkie te nasze niefeministki jednakże ani na krok nie ustąpiłyby ze zdobytych pozycji. Każda chce mieć prawo dysponowania swoim majątkiem, kierowania własnym postępowaniem, wolność wyboru zawodu i miejsca zamieszkania, zarabiania i wydawania pieniędzy, siedzenia w domu, lub podróżowania bez pozwolenia ojca, męża, czy brata. Każda chce czytać te książki, które jej się podobają, mieć przyjaciółki i przyjaciół według własnego wyboru, chce — jeżeli ma ambicje polityczne i społeczne — należeć do tej czy innej grupy i obozu, czy to się podoba rodzinie, czy nie. A przecież to wszystko — to nie innego, tylko czysty feminizm! Oczywiście feminizm nieteoretyczny, lecz realny, praktyczny.

W dzisiejszej atmosferze młodym kobietom w głowie się nie mieści, by mogły istnieć takie ograniczenia osobiste i w życiu publicznym, jakim podlegały kobiety jeszcze kilkadziesiąt lat temu... Niechże kto wytłumaczy teraźniejszym dzieciom, jak to było w szkole rosyjskiej, lub austriackiej, niechże im da posmak katorgi syberyjskiej... Nie chcą czytać „Dziadów“, nie rozumieją Wyspiańskiego i nudzą ich Wieszcowie. Coś podobnego jest z feminizmem i feministkami.

Nie chcemy dziś nazywać się feministkami i, jeżeli mowa o bojowej akcji, to nie mamy najmniejszego nawet prawa sięgać po cierniste laury należne Entuzjastkom, Zapolskiej, czy Ligawkom... mimo to jesteśmy, czy o tem wiemy, czy nie wiemy, feministkami już od urodzenia. Jest feministką każda kobieta, która niema zamiaru być niewolnicą mężczyzny, która czuje się osobowością i chce mieć swe własne miejsce pod słońcem — przynajmniej tyle.

Z tej strony, kobiecej, nie widzę tedy żadnego kryzysu feminizmu. Widzę tylko ewolucję. I jak wyżej powiedziałam, młode pokolenie kobiet jest

faktycznie bardziej feministyczne. niż poprzednie. Gdy patrzę na młode dziewczęta, jestem pewna, że nie dadzą się zdystansować swym braciom i kolegom. Ale właśnie dlatego, że warunki do wspólnego wysiłku dały im zdobycze feminizmu. Bez tych warunków musiałyby walkę podejmować tak, jak pokolenia poprzednie.

Grozi zato tym niefeministycznym feministkom inne niebezpieczeństwo, o którym słusznie mówi koleżanka Zofja Zaleska: niebezpieczeństwo wypierania kobiet z ich miejsc, należnych im dzięki pracy, wykształceniu i kwalifikacjom. Czy to prowadzi do nowej fali bojowego feminizmu, trudno przewidzieć, ale niewątpliwie doprowadzić może.

Równouprawnienie kobiet jest dziś nie na rękę pewnym prądom, idącym po linii najmniejszego oporu w walce ekonomicznej, w zmaganiu się o byt i chleb codzienny. Dziś już nikt nie troszczy się o teoretyczne argumenty równouprawnienia, o wagę mózgu kobiecego, o rekordy doktoratów — dziś brutalną prawdą jest — by było co jeść — lepiej jeść. Walka zaczęła się na polu ekonomicznym i nie wynika z jakiegoś załamania się lub rozpadu feminizmu.

Jest to kryzys całkowicie zewnętrzny. Patrzyliśmy wszyscy, jak narodził się ów prąd rugowania kobiet z życia gospodarczego i, co za tem idzie, z życia publicznego, umysłowego i politycznego w Niemczech. Ideje hitlerowskie nie pozostały bez wpływu na polskie mózgi, mamy tedy obecnie niejednego przykład odsyłania w czambuł „bab“ do ich „właściwych zajęć“, do garnków i fatalaszków.

Naturalnie, że tego rodzaju zac zadanie umysłów może, pod naciskiem rozpaczliwych stosunków ekonomicznych, wyrządzić dość dużo szkody kobietom, ich sytuacji gospodarczej i prawnej, może jednak doprowadzić do stworzenia frontu feministycznego przeciw szykanom.

Istnieje jeszcze jedna forma rzekomego kryzysu feminizmu, wprowadzonego również z zewnątrz do środowisk kobiecych w Italji i Francji. Tam kobietom, które jeszcze nie mają równouprawnienia, wmawia się na gwałt, że one tych wszystkich głupich praw wcale nie chcą; kobietom, które prawnie jeszcze nie wyszły z reżimu patriarchalnej rodziny, wmawia się, że chcą koniecznie „wrócić do domu“. Akcja na rzecz „powrotu matek do domu“, jak się to nazywa we Francji, podjęta przez koła klerykalne i konserwatywne, zbiega się z faszystowską w Italji propagandą licznego macierzyństwa, prem-

## 36 godzin czyszczenia zębów

Tyle godzin przypada rocznie na czyszczenie zębów. Jakże wiele czasu przypada zatem na całe życie! Czy w tych warunkach nie należy dokonać starannego wyboru środka do pielęgnacji zębów?

### 3 zalety

przemawiają za Kalodontem:

1. Łagodna piana dociera do wszystkich miejsc, których szczoteczka nie dosięga.
2. Idealnie delikatna pasta czyści emalję.
3. Zawarty w niej Sulforicinoleat pg. dra Braeunlicha zapobiega tworzeniu się niebezpiecznego kamienia nazębnego.



# KALODONT

## PRZECIW KAMIENIOWI NAZĘBNEMU

jowaniem matek za liczne potomstwo, które ma poznać wszelkie aspiracje kobiet do samodzielnej egzystencji.

To sztuczne zapobieganie feminizmowi w krajach łacińskich może być skuteczne na pewien przeciąg czasu, zwłaszcza w okresie dyktatury politycznej, nie może być wszakże uważane za jakikolwiek kryzys feminizmu, jako prądu ideowego. Jest to zwyczajny ucisk społeczny, dotyczący wśród wielu innych dziedzin także i sytuację kobiety.

Sytuacja ta jest, oczywiście, związana ściśle z pewnym poglądem ogólnym, z ustrojem społecznym a jest sprawą ogólnoludzką. Ale nigdy przecież feministki nie wymiawiały się od udziału w ogólnych dążeniach i pracach — przeciwnie, o możliwość uczestniczenia w tworzeniu losów ludzkości walczyły.

Z linii tej nie zeszyły ich następczynie, te, które odrzucają stary szyld „feminizmu“ jako rekwizyt, godny muzealnych ścian. Jeżeli irytuje nas dziś epitet „feministki“, przestarzały i ośmieszony przez płytkich złośliwców, wolno nam nie nazywać się feministkami. Nie zmieni to życia, nie odwróci biegu wypadków, ani nie wypełni idei jak najszerszego, pełnego udziału kobiety w życiu społecznym i państwowym, idei sprawiedliwości w stosunku do kobiety. Za tą ideą stoją już pokolenia i pójdą za nią pokolenia, nietylko kobiet, lecz mężczyzn, poprostu — ludzi, którym nic, co ludzkie, nie może być obce.

# Temperatura dłoni

Wanda przyrzekła kuzynce, że będzie z nią razem w czasie operacji ojca. Siedziały w poczekalni jedną, drugą, a potem prawie trzecią godzinę. Nakońiec wybiegł z sali pierwszy z doktorów, bez twarzy, w masce. Natknął się na kolegę, prawie cywila, bo tylko w białym fartuchu.

— Ten Janek! Uważali, że na operację zapóźno, uparł się! „Można“, „trzeba“, jak to on zawsze.

— Przecież nic nie gada, nikomu się nie tłumaczy... Tylko robi co uważa za konieczne...

— Więc zrobił. I co z tego? Nie wolno bezkarnie otworzyć człowiekowi brzuch i grzebać w nim przez trzy godziny. Siostra, która badała puls, mrugnęła okiem... Świetnie się rozumieją... Trzeba było zaraz zrobić transfuzję krwi... Nie było nikogo pod ręką... Więc...

— Ten szafuje swoją krwią.

Wanda była zaproszona na koladkę do kuzynki, do której po dwóch miesiącach pobytu w szpitalu znów wrócił jej ojciec — zdrowy. Doktor obiecał też przyjść. Ze względu na chorego trzeba było wcześniej zjeść wiecek. Była już gotowa, w kapeluszu, gdy zadzwonił telefon.

— Czy pani?... tu... — Był to głos człowieka, którego bardzo pragnęła poznać. — Chwilowo jestem w Warszawie. Dziś przyjechałem, jutro wieczór wyjeżdżam. Kiedy się zobaczymy?

W szachownicy pracy i przyjemności szukała chwili wytchnienia.

— Nie wiem... Jestem bardzo zajęta. Teraz muszę wyjść...

— A nie, proszę pani... Należy być konsekwentną. Skoro pani chciała mnie poznać... O której będzie pani wolna dziś wieczorem?

— Trudno powiedzieć...

— Kiedy pani będzie wolna, wtedy się zobaczymy.

— Ale gdzie?

— Naturalnie u pani. Gdy pani wróci...

— Wrócę... Postaram się... Kwadrans po dziesiątej...

— Będę o wpół do jedenastej. Do widzenia pani.

— Bardzo się cieszę, że pana poznam.

Z siódmej przełożono kolację na ósmą.

• Nie było doktora.

— Pewno przy chorych...

— Może jaka nagła operacja... Z nim tak zawsze...

Przyszedł świeżo wygolony, dobrze ubrany, ze wstążeczką orderu, przeplecioną w butonierce. Przyniósł czerwone róże, starannie dobrane do urody pani domu.

Siedział przy Wandzie. Rozmawiano o sztuce, literaturze i powadze życia. Mówił niewiele, ale wszystko, co mówił, było jedynie jego. Mądre dobrocią.

Niedawno chory, wypiwszy trochę, rozpoczął podziękowania. Gdyby nie doktor, jego niezawodne ręce i pinsety, nie siedziałby w gronie bliskich, ale kto wie, gdzie. Uczynił nieokreślony ruch ręką, podniósł w górę, potem w dół.

— E, pan przesadza... To nic było nic wielkiego.

Starszy pan czuł się dotknięty. Upewniał wszystkich, że jedną nogą był już na tamtym świecie, druga teżby się poślizgnęła z krańca ziemi — w ziemię. A teraz chirurg lekceważy wielkość niebezpieczeństwa!

— Przyzna jednak pan doktor, że sprawa była poważna. Przecież — rzucił z dumą — długo byłem na obserwacji, a potem to wszyscy panowie schodzili się do mnie! Więc jednak nie jakaś tam ślepa kiszka! Jeżeli nawet mnie się wydaje, bo tak się każdemu wydaje, że nasz wypadek wyjątkowy, to przez te dwa miesiące napatrzyłem się cudom jakie nasz Eskulap robi. Wicie, ten człowiek biega po schodach — w górę! — jak uczeń. Wziąć na ręce najcięższego draba, przenieść na inne łóżko, to dla niego piórko! Kto w nocy operuje, tylko on. A czy to siły fizyczne pomagają? Nie, to wola. Wolą swoją cuda czyni...

Doktor kilka razy, zawsze napróżno, starał się przeszkodzić tyradzie człowieka, którego śmierć wolała do siebie, a teraz żył, zasilony nieświadomie cudzą krwią i krew ta, odnowiwszy ciało, duchowi dyktowała pochwałę.

Wanda szepnęła:

— Pan jest nowoczesnym świętym.

— O, pani też przesadza!

Dziesięć uderzeń zegara wyrwało Wandę ze światła wielkiego serca. To są bezsensa życiowe! Ktoś, kto kiedyindziej mógłby być ożywym, odwołuje nas od źródła, przy którym pijemy! Jak w przyrodzie, albo posucha, albo nadmiar życiodajnych deszczów!

Szybkość taksówki pozwoliła jej raczej to czuć, niż myśleć.

Zaledwie miała czas zdjąć futro i kapelusz, gdy posłyszała dzwonek. Pozwoliła służącej pójść do „koleżanki“, więc sama otworzyła drzwi.

— Przepraszam panią, spóźniłem się o pięć minut.

Gdyby się nie był spóźnił, nie zastałby jej w domu.

Gość był miły, od razu swobodny. Nie pytał, dlaczego jest taką a nie inną, nie tłumaczył się ze swego wyglądu ani uśmiechu. Prowadził jakby dalszy ciąg przerwanej znajomości, bez wstępu ani objaśnień. Wyrwani ze swych światów, zamknięci byli w jednym pokoju.

— Pan chce herbaty?

— Proszę.

Pomógł przysunąć stolik do otomany, przy której siedziała, zbliżył swój fotel. Jedli słodczyce, a potem na dłoni oparli swe głowy, ciężkie od niepodzielonych jeszcze myśli. Tak, to tylko o to chodziło, o tę wymianę, nie czekały ich niespodzianki innych poglądów, ani spory obcych zapatrywań.

Oboje nad życie kochali życie swoje, co z niego wzięli i co można jeszcze wziąć: patrzeniem, słuchaniem, a gdy trzeba, miłością innego człowieka. Jak najwięcej brać, jak najwięcej dawać...

— Pani pozwoli, że tam usiądę...

Szybkim ruchem z fotela przeniósł się na kanapę. Dzieliła ich wielka niebieska poduszka w złote smoki

— Francuz zacząłby teraz całować — pomyślała.

— Wie pani, nad wszystko jednak przekładam nową podróż...

Swoje dawne podróże odbyli wspólnie. Czy nikt nie powiedział, że nowe możnaby odbyć razem?

O późnej porze nocy wziął jej rękę, żeby zobaczyć, która godzina.

— Druga, chyba już trzeba iść? Jak pani myśli?

— Chyba...

Wanda nie mogła zasnąć, miała głowę jeszcze bardziej ciężką, powiększoną o cudze myśli. Długo zastanawiała się, jaka jest temperatura dłoni doktora, a jaka nieznanego? Kobieta nie pamięta uścisku ręki mężczyzny, dlatego, że własnym entuzjazmem dodaje mu ciepła, albo też dlatego, że interesuje ją duchowo, bez minimalnej nawet domieszki sexappełu.

Jeśli chodzi o Wandę, żeby wyjaśnić jej problem wależałoby napisać dwie nowele.

M. KASTERKA.

2)

## Matka

Pomyślałam sobie mimowolnie: „a one z nim?“, ale, naturalnie, nie wypowiedziałam głośno tej uwagi. Doktor Nagy wyglądał na zdrowego, tęgiego egoistę, niezbyt subtelnego i bynajmniej nie dobrodusznego. Przypomniałam też sobie, co mi mówiła kiedyś posługująca u nas kobieta, wdowa po jakimś drobnym urzędniku pocztowym, że doktor Nagy stracił posag dwóch żon i nadszarpnął przyzwyczajenie reszty swego mienia, rozwiodła się z mężem i mściła się, o ile mogła, na ex-świekrze.

Pomyślałam też, że może owi synowie bardziej kochają matkę, niż posiadanie własnej rodziny. Doktor odwiedzał ją ostatnio dość często.

Lecz naturalnie zachowałam te domysły dla siebie.

Powoli pani Nagy widocznie oswajała się ze mną. Raz zaszła mnie, gdy czesałam się pośpiesznie, bo mieliśmy parę osób na „déjeuner“. Okno było otwarte, gdyż, wskutek kulinarnych przygotowań, nieznośny upał panował w maleńkim mieszkaniu. Okiem znawczyni rzuciła na otworzony nezeser podróżny, na puder, róż etc.

— Dobrze to mieszkać w Paryżu — zauważyła z uśmiechem. — Dawniej i ja sprowadzałam z Paryża wszystko: kremy, pudry, perfumy.

— Niech mi pani wybaczy, jeśli wdaję się w to, co do mnie nie należy — odezwałam się — ale dlaczego pani tak mało dba o siebie? Przecież kobieta zawsze powinna się starać wyglądać pięknie. Cesarzowa Józefina i Paulina Borghese na-

wet umierając, starały się być piękne, a pani przecież nie jest ani starą, ani brzydką.

Uśmiechnęła się smutnie.

— Ma pani rację. Ale nie mam już do tego ani chęci, ani sił.

Zawahała się nagle i po chwili poprosiła:

— Niech pani zajdzie na chwilę do mnie.

Zdziwiła mnie ogromnie ta propozycja, ale przypomniałam sobie w porę, że mam gości za godzinę.

— Proszę mi wybaczyć, ale dziś w tej chwili naprawdę nie mogę.

— Tylko na chwilę, nie zatrzymam pani długo.

Coś nakształt prośby zadźwięczało w jej głosie. Ostatecznie na chwilę mogłam sobie pozwolić na to, aby zostawić dom, a zwłaszcza kuchnię na opiece Weroniki. Zamknęłam nezeser i poszłam za panią Nagy.

Przez ogromny przedpokój, dużą salę jadalną, mroczną z powodu zamkniętych przed upałem okiennic, weszliśmy do wielkiego salonu. Nie otwierając okiennic, pani Nagy zapaliła elektryczność i wskazała ruchem ręki na przeciwległą ścianę.

— Niech pani spojrzy, proszę.

Prześliczny portret, arcydzieło Lenbacha, w bogatej owalnej ramie, olśniewał poprostu świeżością barw. Cudna, delikatna głowa młodej kobiety, uczesana à la Maria Vecsera, wylaniała się na liliowo-różowawym tle. Blando-różowy tiul i koronki owijały biust, odkrywając ślicznie zarysowane ramiona. Radość jakaś wiosenna i figlarna, przekorny trochę uśmiech rozświecały tę młodą twarz kobietą. Jedno

tylko łączyło ją ze zmęczoną, przedwcześnie postarzałą kobietą, stojącą obok mnie. Te wielkie czarne, zawsze jednako piękne oczy.

Z niemego zachwyty wyrwał mnie dopiero głos Weroniki, wołającej mnie z balkonu:

— „Coconitza“ (czyt. kokonica, mała pani), przyszedł listonosz!

\* \* \*

Jakoś w parę dni potem pani Nagy zaprosiła nas na herbatę. Wiedziałam już, że najlepiej lubi przebywać w swej kuchni, zresztą podobnej do salonu, idealnie czystej, i w której nigdy nie gotowano nic oprócz herbaty lub kawy na maszynie elektrycznej, bo obiady przynoszono z restauracji bardzo taniej, jak większość restauracji rumuńskich w kryzysowej epoce. Oparłam się zatem stanowczo propozycji przejścia do jadalni lub do salonu, prosząc panią Nagy, aby przyjęła nas jako sąsiadów. Zgodziła się po krótkich ceregielach i zasiedliśmy razem dokoła ładnego, rzeźbionego stolika, w wygodnych staroświeckich fotelach. Był oczywiście i syn pani Nagy, prawnik, wysoki, tęgi, łysiejący mężczyzna. Nie miał nic z dystynkcji, ani wdzięku matki. Niemile uderzył mnie pewien odcień lekceważenia w jego głosie, gdy zwracał się do niej.

Mówiliśmy o nowej właścicielce domu i pani Nagy powtórzyła swoje ulubione określenie: „eine ganz gewöhnliche Person“.

— Tak — zauważył nieco opryskliwie prawnik — ale nie wiem dlaczego moja matka miałaby dalej mieszkać z nią pod jednym dachem.

Zwłaszcza, że matka ma wadę serca i wszelkie emocje są dla niej szkodliwe.

— Ależ mieszkanie to należy do matki pańskiej — rzekł mój mąż — i nikt nie ma prawa mieszać się do tego, co matka pańska robi u siebie.

— Zresztą — wtrąciła pani Nagy — to nie jest zła kobieta, tylko ordynarna.

— To jeszcze gorzej — zdecydował prawnik. — Matka musi się przeprowadzić, szukam właśnie mieszkania.

Twarz pani Nagy jakby poszarzała na chwilę, ale wnet zwróciła się z uśmiechem do mego męża:

— Widzi pan, jak cały dzień jestem tu sama z moją służącą tylko. Więc moje dzieci boją się o mnie. Ja wiem, że mi nic nie grozi, że pan tu blisko mieszka i zwłaszcza teraz, gdy jest pańska żona... Ale rozumiem, że moi synowie mają słuszną rację.

— Mnie się zdaje, że panowie przesadzają — oświadczył mój mąż, którego cała ta sprawa zupełnie nie obchodziła, i zaczęto mówić o polityce.

\* \* \*

Wróciłam do domu sama popołudniu i jak zwykle pierwszym moim ruchem było otworzyć okno. Parno było i ciężko, w powietrzu wisiała burza. Ponad wzgórzami w kwiatkach sunęły wielkie, poszarpane chmury. Chwilami zrywał się wichur, ale i on palił zamiast chłodzić.

Za oknem stała pani Nagy. Bledsza była trochę niż zwykle i oczy błyszczały jej gorączkowo. Może i na nią działała zbliżająca się burza.

— Przyszłam dziś do pani z wielką prośbą, — zaczęła wahająco.

— Jeżeli to tylko w mojej mocy, to służę.

— Sądzę, że tak. Wie pani, że mamy przeprowadzić się do mniej-

szego mieszkania. Prawdę powiedziawszy, męczy mnie już ciągle odkurzanie i pielęgnowanie tyłu sprzętów i tyłu gracyków. Chciałabym się więc pozbyć tego wszystkiego, chociaż tu w Cluj trudno będzie znaleźć na to amatorów. Pani zna się na srebrach, kryształach, meblach. Może mi pani powie mniej więcej, co to warte.

Wypowiedziała to wszystko prędko, jednym tchem, jakby recytowała jakąś wyuczoną lekcję.

— Och, proszę pani, bardzo żałuję, ale na nic się tu nie przydam. Mam trochę pojęcia o tych rzeczach, ale nie jestem ani specjalistą, ani ekspertem. Moje zdanie nie ma tu żadnego znaczenia.

— Może jednak zajdzie pani do mnie na chwilę i rzuci okiem na to wszystko — prosiła niezrażona.

— Owszem, pójdę z przyjemnością. Choćby dlatego, żeby zobaczyć pani piękny portret.

— Och, mój portret!

Weszliśmy do długiego westybulu, którego ściany były okryte aż do sufitu półkami z książkami. Zauważyłam, że wybór pisarzy był zrobiony ze znajomością rzeczy i dość wybrednym smakiem. Dawniejsze wydania były pięknie oprawne, nowsze bez oprawy i o wiele mniej liczne.

W sypialni zwróciło moją uwagę wspaniałe pokrycie wielkiego łóża z koronek weneckich i brukselskich.

— Tak, to stare koronki — objaśniła mnie pani Nagy — dostałam to, gdy szła zamaż. A ta kaseta — wskazała misternej roboty, inkrustowaną kasetę — należała do kancelarza Metternicha, mam na to dowody.

— Co za cudowna chińska porcelana!

— Także stare, rodzinne.

Dywany, firanki, wszystko było cenne, naprawdę piękne i oryginal-

ne. Zespół niezwykle wykwintny i umiejętnie dobrany.

Przeszliśmy do jadalni. Ponieważ mroczyło się bardzo z powodu nadciągającej burzy, pani Nagy zapaliła światło. Był to rodzaj starego, ciężkiego żyrandola z masywnego brązu. Po starych bardzo zamkach i czasem w starożytnych synagogach widuje się takie żyrandole. I meble były tu też ciężkie, staroświeckie, ciemne. Tylko w ogromnej witrynie migotały i lśniły srebra oraz sporo pozłocistych, czy złotych cacek. Starożytne tace i kosze srebrne, subtelnie wypracowane, czasem trochę cudaczne dla naszego nowoczesnego gustu, były tak ciężkie, że niektóre ledwie mogłam utrzymać w obu rękach. Były też istne cacka sztuki złotniczej, lekkie, misterne, ślicznie wyczelowane. Zatrzymałam się nieco dłużej przy jednym takim cacku, mikroskopijnej cukierniczce, zabawnie ustawionej na malutkich pięciu rzeźbionych kolumnkach. Pani Nagy zauważyła mój zachwyt.

— Proszę, niech pani to weźmie.

— Ależ pani!...

— Zrobi mi pani wielką, wielką przyjemność. I ja to bardzo lubię.

— Więc będzie pani lubić w dalszym ciągu. Bardzo ładna rzecz — przerwałam grzecznym, lecz chłodnym tonem, bo mnie uraziła ta dzika propozycja. Odczuła to snąć, bo milcząc przeszliśmy do salonu. Tu nie powiedziała ani słowa więcej i weneckie zwierciadła, kryształowy pajak, meble kryte starym haftem, wielkie witryny, pełne figurynek z sewskiej, saskiej i chińskiej porcelany. Kilka dobrych obrazów z podpisami znanych artystów. I ten cudny portret uśmiechniętej czarodziejki w różowych tiulach i koronkach...

Zwróciłam się do pani Nagy:

## Giorgia Pisani

# JAK KOCHANO PRZED STU LATY

Przekład Zuzanny Rabskiej

Ilustracje St. Bobińskiego

Wydanie Tow. Wyd. „BLUSZCZ“

Cena luksusowego egzempl. zł. 8.—

Książka ta to dzieje romantycznej miłości Elżbiety Barrett - Browning i Roberta Browninga, oparte na korespondencji dwojga poetów angielskich. Książka aktualna i specjalnie interesująca spowodu wystawienia sztuki „MISS BA” na ten sam temat.



— Ani mogę, ani potrafię ocenić to wszystko. Ale zdaje mi się, że pani ma tu prawdziwe bogactwo, tyle rzadkich i cennych przedmiotów... Tylko nie rozumiem, dlaczego pani chce to wszystko sprzedać teraz, zaraz? Przecież żadna konieczność do tego pani nie zmusza. W obecnej chwili prosto zmarnuje pani to wszystko. Nie rozumiem też, po co ma się pani przeprowadzać z własnego mieszkania gdzieś do innego? Mieszkanie duże sprzedać też nie tak łatwo obecnie, a przecież podatki płacić trzeba i inne mieszkanie też. Po co ten pośpiech? Czy i ten portret chce pani sprzedać?

Pani Nagy chciała mi coś odpowiedzieć, ale nagle usta jej zadrgały i cała zatrzęsła się od długo tłumionego płaczu.

— Na Boga, co pani? Może wody? kropli jakich?

— Nie, nie. Niech pani zamknie drzwi. Służąca mogłaby posłyszeć. To nic, to nic... Tylko ja nie chcę sprzedawać tego wszystkiego, nie chcę. To oni, zawsze oni... A przecież ja mam wadę serca, nie pożyję długo, mogliby mi to zostawić, choć do końca...

Płakała cicho, tłumiąc łkania przyciśniętą do ust chusteczką. Po chwili odjęła ją i mówiła dalej, pośpiesznym, gwałtownym szepczeniem, jakby nie mogła dłużej zatrzymać tego potoku słów:

— Wszystko im oddałam, wszystko. Dla siebie nie biorę nic. Pani się dziwiła, że nigdzie nie wychodzę? Jak? Mam tylko ten stary szlafrok tak pełen cer i łań, że niktby go nie kupił. Codziennie go ceruję, między haftami nie widać. I mam tylko te stare sukienne pantofle ranne. Miałam biżuterję, brylanty, kosztowności... Wszystko oddałam, wszystko... I teraz, każdy grosz. Ale oni mówią: — po co starej kobiecie to wszystko? A ja chciałabym tylko umrzeć w moim domu, nie widzieć, jak to pójdzie w obce ręce. Może to głupio, źle, ale w tym już tylko zostało coś z mego życia, ze mnie samej. A przede wszystkim chciałoby sprzedać ten portret, mój portret...

Objęłam ją łagodnie ramieniem, nie znajdując słów, któreby pocieszyły nie raniąc. Płakała teraz cichutko, wyczerpana, bezsilna. A nad głowami naszymi uśmiechała się beztrudnie prześliczna twarz kobiety, spowitej w różowy tiul i koronki.

Czarne, chmurne, niebo zaczynały przecinać pierwsze błyskawice.

\* \* \*

Pobyt mój w Cluj dobiegał końca. Trzeba było znowu rozpocząć

## NAJPIĘKNIEJSZA TUALETA

Nie wywoła właściwego efektu, o ile jej właścicielka będzie miała włosy tłuste i zlepione.

Puszystość i jedwabisty połysk włosów można osiągnąć myjąc często głowę

## W SHAMPOO W PROSZKU

M. MALINOWSKIEGO

Preparowanem w dwóch rodzajach z przeznaczeniem dla włosów jasnych i ciemnych.

**Lab. Chem. - Farm. — Warszawa, ul. Chmielna 4**

**Do nabycia we wszystkich pierwszorzędnych firmach.**

pracowite życie, a przedtem odbyć długą, długą podróż. I oto pewnego pięknego, wiosennego wieczoru pakowałam starannie moją małą walizkę i jeszcze mniejszy sakwojaż. Im mniej w drodze rzeczy, tem lepiej.

Wieczór był wiosenny, bardzo pogodny i słońce zaszło tego dnia powoli, jakby ociągając się, nad kwitnącymi wzgórzami. Na wieży strażnicy ogniowej błyszczało już czerwone światelko, a jeszcze różowe blaski zachodu błąkały się dokoła niej, niechętnie ustępując miejsca nocy. Pachniało w powietrzu czeremchą i młodej liśćmi.

Weronika pozamykała z przedwczesną gorliwością okna i zapuszczała story. Miły, dobrze znany krajobraz znikł mi z oczu. Nie próbowałam protestować, bo czy kilka minut przed czy później, wszystko jedno. Miałam już kapelusze na głowie i wciągałam rękawiczki, gdy mąż mój, również trochę zasępiiony, wszedł do pokoju.

— Czy pożegnałaś się z panią Nagy? Nie? No, to możesz ją pożegnać przechodząc, bo ona ciągle wygląda na balkon i na nasze okna.

Od czasu, gdy tak niespodziewanie dla mnie usłyszałam bolesne wyznanie pani Nagy, nie powróciliśmy już nigdy do tego tematu. Jak przedtem rozmawialiśmy przy otwartym oknie, raz nawet ona weszła do mnie na papierosa i filiżankę herbaty. Wiedziała też, że nie mogę pozostać długo w Cluj, ale nie mówiłam z nią nigdy o moim odjeździe, może dlatego, że czułam, iż w jej pustym, samotnym życiu jedyną „rozrywką“, poza radjo, były te nasze krótkie, napozór obojętne rozmowy.

Miałam zmęczone nerwy i chciałam załatwić to pożegnanie jak najprędzej. Człowiek czasami sztukuje sztywnością, gdy ma ochotę do płaczu. Pani Nagy spojrziała na mnie spłoszonymi oczami:

— Pani już odjeżdża? tak prędko?...

Światło z okien jej mieszkania padało na jej wychudłą twarz i szczupłą postać. W swojej fioletowej sukni z chińskim haftem wyglądała jak jakieś widziadło fantastyczne i żalodne.

Bąknęła coś niezbyt mądrego o konieczności odjazdu i stałam przed nią, zakłopotana, jakbym ją po raz pierwszy w życiu widziała.

— Coconitza, auto już czeka! — wołała na mnie ze schodów Weronika. — I pan mówi, że późno!

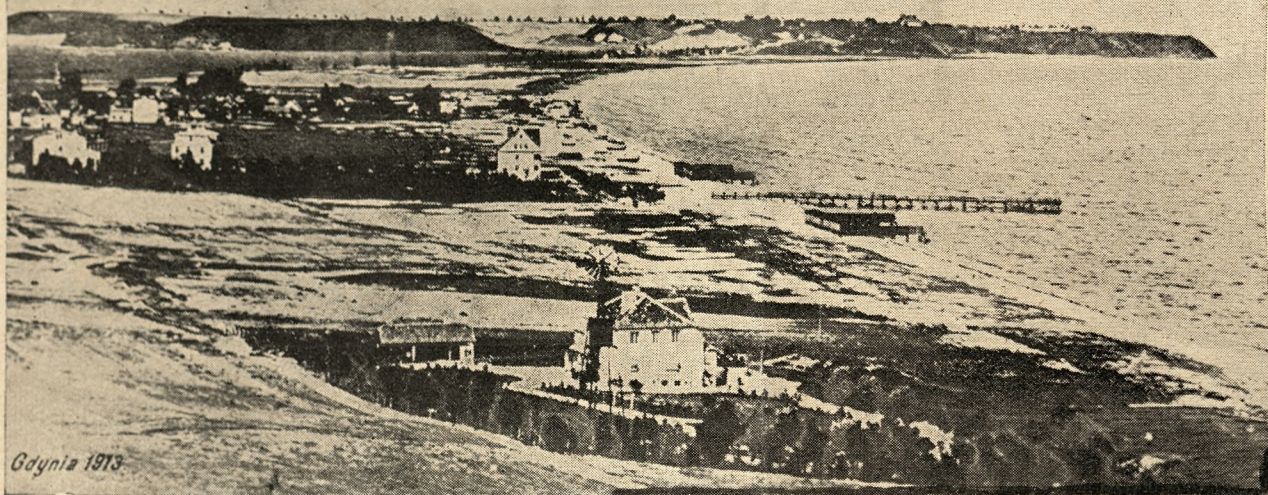
Pani Nagy przyciągnęła mnie do siebie i uściskała. Uczułam, że płacze. Zrobiło mi się głupio i coś zaczęło palić pod powiekami. Uściskałam serdecznie, bez słów, bo i cóż jej mogłam powiedzieć? Nie było tu ani słów pociechy, ani nadziei. Energicznie wytarłam oczy i nie oglądając się za siebie, prędko zbiegłam po schodach.

Mimo wysiłków woli usta drżały mi i łzy kręciły się w oczach, gdy wsiadłam do auta. Mąż mój patrzył na mnie trochę zdziwiony i zapytał bardzo łagodnie:

— I powiedz mi właściwie, dlaczego płaczesz? Przecież chyba nie nad naszą sąsiadką?

Milczałam, zasunawszy się w najciemniejszy kątek auta. Właściwie płakałam nad własną bezradną niemocą wobec cudzej niedoli.

# Morze rośnie



Tak wyglądała Gdynia przed wybuchem wojny w 1913 roku. (Fot. Raulin).

Stary rybak kaszubski plecie sić przed chatą. (Fot. Ryś).

Morze polskie dorasta. W tym roku obchodzimy piętnaste urodziny naszego Benjaminka — Bałtyku. Piętnaście lat, to już jest wiek! To już jest coś, na co można spojrzeć wstecz: to — kartka historii. Pamiętnik ukochanego i długo utęsknionego dziecka, który Polska spisuje od lutego roku tysiąc dziewięćset dwudziestego: jak historia każdej miłości, pamiętnik romantyczny, i pełen zmagania, i pełen walk, i złoty od blasków, i ciemny od groźnych chmur.

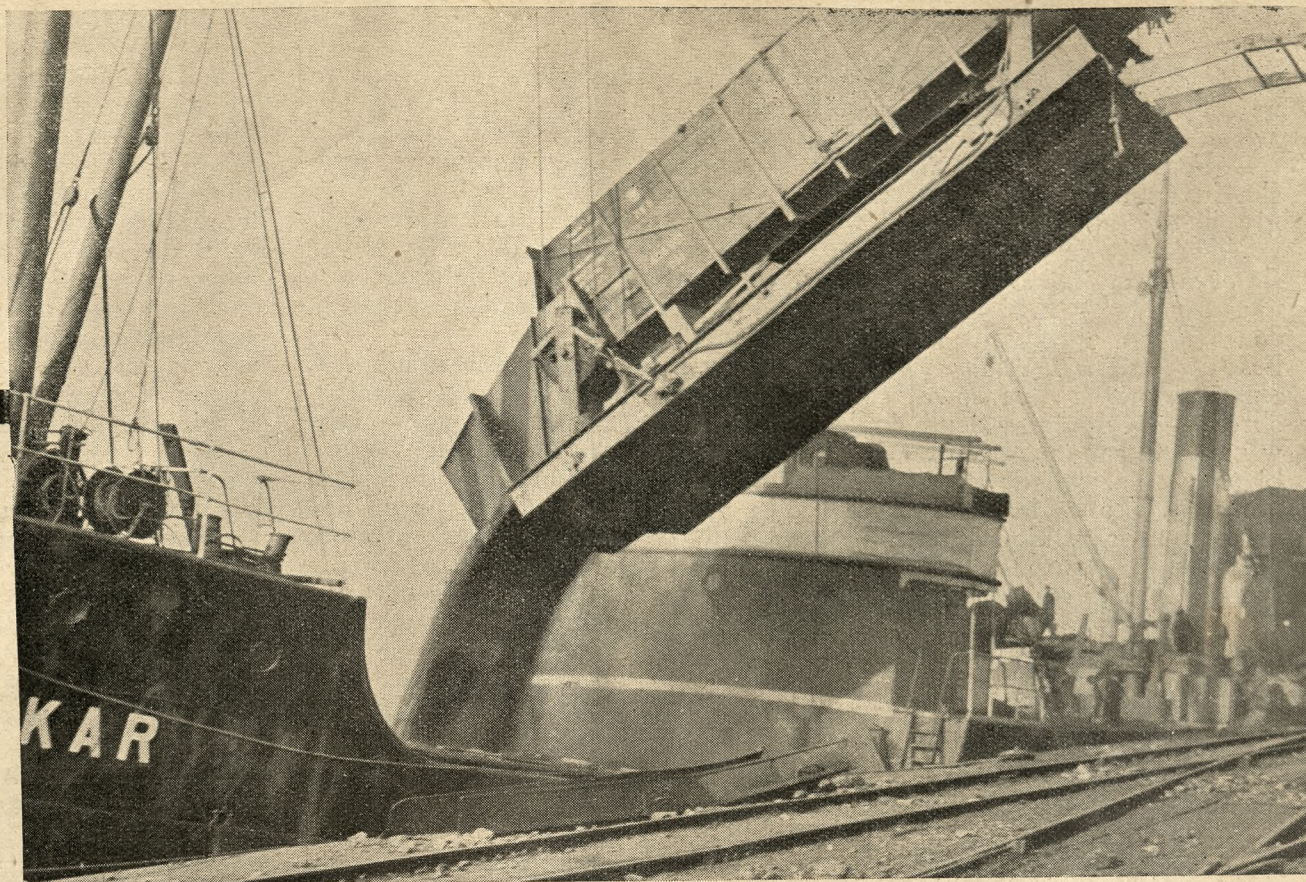
W dwudziestym roku mamy pierwszy etap jawny, po wielu latach — ba! stuleciach utajonej tęsknoty: Rzplta oficjalnie zaręcza się z Bałtykiem. Rycerskie i wspańskie zaręczyny! Złoty pierścień, symbol nierozłącznej wierności, zostaje rzucony w fale Bałtyku przez reprezentanta wojsk Rzeczypospolitej, odkomenderowanych, aby objęły przyznany przez układy powojenne brzeg morza. Uroczyste poświęcenie morza przez kardynała Dalbora nadaje młodemu związkowi sankcję sakramentu. I oto z tego związku przychodzi na świat oczekiwane, utęsknione, obciążone królewskimi nadziejami i wielkimi obowiązkami, najjaśniejsze niemowlę — Polska Moriska!

Czas jakiś nie widzieliśmy we właściwym świetle jej przeznaczeń. Bawiliśmy się wraz z nią na piaskach polskiego wybrzeża muszelkami, i przesypywaliśmy kolorowe kamyczki radości. Cieszyliśmy się nowozdobytym morzem, którego tak długo nam brakowało.



...Poza kolorową plażę i wesołym letniskiem zaczęły powoli wspinać się piętrami i dźwigać potężnymi kranami żelbetowe dzielnice portu"...

(fot. Podębski),



Białe żagle własnego jachtu i kolorowa parasolka plażowa zasłaniały nam perspektywę nieograniczonych morskich możliwości, jak złote loki królewskiego dziecka zasłaniają zbliżając się majestat. Ale nie zdołają go zasłonić tym, którzy są świadomi przyszłych obowiązków majestatu.

I dlatego nie zasłoniły go dalekim centralom państwowym, które ogarniały cały ogrom zadań młodziutkiej Polski Morskiej. Poza kolorową plażę i wesołym letniskiem

zaczęły powoli wspinać się piętrami i dźwigać potężnymi kranami żelbetowe dzielnice portu. Nie zsiadały się na wybrzeżu na sezon, tylko na długi, pracowity, ciężki rok: i nie obliczały swego istnienia na lata, tylko — na dzieje. Patrzyły wyżej i dalej: poza wesoły żagiel, poza barwny tłum, poza rozedrgane muzyką, neutralne Zopoty, za którymi się rozpościerał ongiś słowiański, a dziś niemiecki ląd. I widziały to, czego nie widział letnik, z rozkoszą plażujący

na wybrzeżu: cienie nad Bałtykiem. Cienie, które nasuwały się od granicy, coraz mroczniejsze i bardziej bliskie, i groziły zagładą młodemu polskiemu wybrzeżu. Cienie, którym nie wolno było pozwolić, aby się zmaterjalizowały w dwa wrogie zastępy wojsk na świeżo odzyskanym, błękitnym pograniczu morskim!

Od chwili, kiedy naród uświadomił sobie dobrze tę ciemną groźbę, wiszącą nad ukochanym swoim dzieckiem — Polską Morską — w



„Frontem do morza! Cała Polska frontem do morza!.. Budził się w narodzie zapomniany przez wieki oddalenia pęd do morza“.

Tak mygląda Gdynia obecnie. (Fot. Olszewski).

ustosunkowaniu się najdalszych nawet od morza mas nastąpił zwrot.

— Frontem do morza! Cała Polska frontem do morza!.. — rozbiegły się wici wielu instytucji i urzędów, kierowanych wspólną myślą organizacyjną. Gorączkowa akcja poszła w dwu kierunkach: jeden budował olbrzymim nakładem kosztów nad Bałtykiem twierdzę ekonomiczną i finansową samobrony — Gdynię — drugi budził w narodzie zapomniany przez wieki oddalenia, pęd do morza. Pęd, nietylko jako do letniska i plaży, ale przede wszystkim do wolnego pomostu, przerzuczonego przez Bałtyk od Polski ku całemu światu. Do jego rynków zbytu, do jego terenów kolonizacyjnych, do jego

łączności międzynarodowej, do jego koniunktur międzysojusznicych. Do udziału w nieogarnionych i niedających się nawet przewidzieć możliwościach rozwojowych, otwartych dla krajów z dostępnym do morza, do których Polska z natury rzeczy należała i od którego została niegdyś sztucznie usunięta.

Nie byłoby sposobu obudzić w narodzie o kilkudziesięciu milionach ludności pędu do morza, gdyby w tych milionach już nie istniał w stanie gotowym do rozwoju. Jednolitość, z jaką naród polski zwrócił się istotnie frontem do morza i jego konieczności rozwojowych, świadczy o rzeczy niezmiernie ważnej. Nie święcimy dziś piętnastolecia urodzin polskie-

go morza! Święcimy piętnastolecie jego odrodzenia. Życie Polski Morskiej z przed kilku wieków nie umarło i nie rozwiało się. Przystąpiło się tylko do sposobnej chwili. Przetrwało w ziarnkach nadbrzeżnych piasków, z których sypano tamy jeszcze za czasów królewskich, szumi szumami puszcz, które spławiano przed wiekami Wisłą do Bałtyku: pluszcze się w falach „cichej Motławy“ pod sędziwemi od wieku spichrzami gdańskimi, pełnemi dziś, jak ongiś, polskiej pszenicy. Polska Morska, królewskie niemowlę zaślubin Bałtyku i Najjaśniejszej Rzeczypospolitej: obchodzi co roku swoje coraz to do-roslejsze odrodziny pod hasłem: **BALTONIA RESTITUTA!**

Marja Szpyrkówna.

JANINA ŁADA-WALICKA

## Zaślubiny Bałtyku

Dnia 10 Febr. A. D. 1920 odbył się obrząd zaślubin Polski z Bałtykiem.

Mróż był dnia onego luty, spienione grzywy fal Zatoki Puckiej ściała lód w twarde okowy, ostry wiatr od morza Nielitośnie smagał i zacinał podążający na brzeg hufiec zbrojny.

Szli miarowo, równo, rytmicznie, mając twarze promienne wielkiem szczęściem, serca gorejące radością, a z ust ich zrywała się potężna pieśń zwycięstwa.

Zabrzmiały fanfary, rozdzwoniły się dzwony kościelne, i wśród uroczystej ciszy padły słowa ślubowania. Potoczył się pierścień złocisty po gładkim lodzie...

Z zapartym oddechem śledziły go oczu tysiące: Czy przyjmie go morze?...

Było tak cicho, że, zda się, słyszało się dźwięk złota, biegnącego po tafli lodowej i... plusk wpadającej obrączki w ton morską...

Zamknęły się nad nim odmetry: dopełnił się obrząd zaślubin.

Z tysięcy gardzieli buchnął okrzyk radosny i na całą Rzeczpospolitą popłynęła wieść, że odtąd Polska na wieki nierozzerwalnym węzłem z morzem złączona, że naród polski ślubował Wielkiej Wodzie wierność i ukochanie.

Dzisiaj, po latach 15, rzucmy okiem wstecz, jakieśmy ślubowania dotrzymani?

Włożyliśmy dużo pracy i trudu, aby współzycie uczynić jak najmiłszym i dla obu stron korzystnym. Postaraliśmy się nawet zmienić nasz charakter.

Bo — przyznajmy się sami przed sobą — żyliśmy, jak te krety podziemne, bez powietrza, bez szer-

szego oddechu, bez dróg wyjścia, bez światła.

Obecnie mamy okno na świat. Bałtyk dał nam źrenicę wolności, dał oddech mocnego życia, otworzył drogi ku łądom dalekim, przyniósł świeży wiew powietrza i nowe słońca i nowe widnokreśli.

Przejrzeliliśmy. Umieemy patrzeć. Widzimy.

15 lat pracy naszej na Bałtyku — to najpiękniejsza karta historii odrodzonej Ojczyzny.

Dostaliśmy wąski pas piachów, rzadka zamieszkałych przez ubogą ludność kaszubską. Ubogą w dostatki, ale jakże bogatą sercem, w którym przez tyle wieków wiernie przechowali miłość ku swej starej Macierzy! Gdy wojsko polskie przyszło na wybrzeże, powitali go radośnie a proboszcz — Kaszuba — w przemówieniu swem podczas uroczystości zaślubin zaznaczył, że „niema Polski bez morza, że język polski w swej pierwotnej czystości przechowali jedynie Kaszubi, a cała Polska mówi dziś jakimś skażonym narzeczem!“.

I cieszyły się Józefy, Pietry, Jony i Wojtki z Boru, Jastarni, Chalup, Kuźnicy, Oxywii, Gdyni, Rawy, Gnieździewa, Tupadeł i Swarzewa, że odtąd w polskiej marynarce służyć będą, na Polskiem Morzu i na polskich okrętach pojedą.

Na wąskim pasie piachów i wydm powstaje Gdynia, największy port Bałtyku, wyczarowana mocą woli, mózgu i mięśni narodu, spełnienie tysiącletniego snu Chrobrego króla. Pobiegły kilometry betonowych dróg, bulwarów i placów, zakwitło całe wybrzeże bogactwem kąpielisk, willi i pensjo-

natów i rok rocznie zjeżdżają tu tłumy z całej Polski po życie i zdrowie.

Tam, gdzie przed 15 laty chadzały wędrowne wrony, dziś świszczą sygnały i syreny z setek kotłów, a okręty polskie pod polską banderą licznymi linjami okrętowemi płyną na dalekie morza i niosą światu i milionom Polaków na obczyźnie wieść o Polsce mocarnej na lądzie i morzu.

Obok Gdyni, w Oxywii, powstała polska straż morską, marynarka wojenna, czuwająca nad bezpieczeństwem pracy polskiej na wybrzeżu i na morzu. Forty na cyplach Helu i Kamiennej Góry osłoniła je od pokuszenia się na nie wroga.

W głąb morza wysuwa się stocznia, skąd spływać będą niebawem już polskie okręty, przez polskich inżynierów i polskich robotników z polskich materiałów budowane.

Dzięki temu, że posiadamy własne porty i flotę, jesteśmy już państwem o trwałych podstawach gospodarczych i politycznych. Wiernie dotrzyaliśmy obietnicy zaślubin i Bałtyk wiernością nam odpłaca.

$\frac{2}{3}$  całego naszego obrotu z zagranicą przywozimy i wywozimy przez porty bałtyckie: Gdynię i Gdańsk. W latach najbliższych musimy doprowadzić do wszechstronnego wykorzystania naszego wybrzeża. Musimy nie ustawać w pracy i nadrobić braki: stworzyć potężną marynarkę wojenną.

Bo, mimo dumy z tego, co dotychczas zrobiliśmy, jesteśmy, niestety, jeszcze bardzo daleko od tego, aby flota nasza mogła spełnić to zadanie, jakiego Państwo od niej wy-

maga. Ubogi tonaż polski (7.800 tonn) stawia nas nietylko poniżej takich państw, jak Niemcy (135.000 tonn i to powstałych po wojnie!), Szwecja, Sowiety i Danja, ale nawet mała Finlandja zdołała nas prześcignąć (9.600 tonn). W chwili głoszenia hasła „powszechnego uzbrojenia“ wszyscy uzbrojeni po zęby... Aż skóra cierpnie na czło-wieku!

Nie wolno zasypiać na laurach Gdyni i rozmarzać się pięknem Juraty... Trzeba wytrwać wiernie w miłości i twardej służbie dla swego ukochania. Trzeba budo-

wać. Mozolnie, po cegielce, ziarnko do ziarnka.

Czynem jest Liga Morska i Kolonjalna, stojąca na straży morskiego rozwoju Rzeczypospolitej. Ziarnkiem, które każdy z nas dołożyć może, jest złożenie ofiary na Fundusz Obrony Morskiej, cegielką — wpisanie się na członka Ligi.

15-ą rocznicę zaślubin wszysecy upamiętnijmy czynem!

— Thalassa! Thalassa!

Morze! Morze! rozbrzmiał radosny okrzyk przedniej straży *Dziesięciu Tysięcy Xenofonta*, gdy

po długim błędzeniu wśród pusty lądu ujrziała srebrzysty migot wody. Bo morze dla Greków było powrotem do wolności.

I naród polski ma teraz drogę przed sobą otwartą i wolne dalekie światy! Pęd do morza wśród młodzieży jest wprost żywiołowy — wywdzięcza się mu za dawne wieki obojętności i zapomnienia. Ale wszyscy pamiętać musimy, że strzedz i bronić naszego Bałtyku to nasz obowiązek, o ile nie chcemy pozwolić się zepchnąć do roli „szczurów lądowych“. A tylko silna marynarka zapewnić nam może „okno na świat“ i wolność morską.

JADWIGA KORCZAKOWSKA

# Polskie morze

## WIECZÓR

*Sieci dziś wyciągnięto próżne, bez zdobyczy;  
suszą się — pełne teraz sepi i fioletu... Znowu  
trzeba czekać jutra i godziny liczyć  
do nowego połowu...*

## PORT

*Dziwaczne maszyn miasto  
huczy, grozi, z każdym dniem narasta.  
Pracuje pośpiesznym rytmem: Gdy-nia, Gdy-nia!..  
Alarmem syren świat o lenistwo obwinia.*

## NASTRÓJ

*Księżyc znudzony swoim solo  
utopił się w czarnej wodzie  
tuż pod drewnianem molol...  
Można teraz po srebrzystej łusce chodzić,  
przykryć się tęsknoty szalem  
i przez chwilę być melodja, którą właśnie grać  
przestał!..*



*Lodzie rybackie nad polskim morzem.*

*(Fot. Poddębski).*

# Córy Indyi

Przypominam sobie właśnie ostatnie wystąpienie najpostępowszej Hinduski na półwyspie, poetki i działaczki Saroini Naidu, która potępiła surowo zbyt rozluźnione obyczaje wśród podrastającego pokolenia dziewcząt hinduskich, które zaczynają uprawiać sporty... „ryzykowne” w krótkich spodenkach z obnażonymi łydkami.

Czy mają skakać o tycze lub nurkować w... zwojach sari, skrępowane, jak w powiśniętych?

Podzieliłam się temi spostrzeżeniami z moją rozmówczynią.

— Należę do pokolenia, które odchodzi, — odparła z powagą, — ale nie widzę potrzeby, aby tą drogą *właśnie* miała pójść emancypacja Hindusek. Poco ta przesada i ekstrawagancja?

— Ależ to tylko ćwiczenia dla pełni rozwoju ciała przy pełni rozwoju ducha. Przecież i wśród Was zdarzają się już dziś emancypantki na *każdym* polu? — nacieram.

Po krótkim milczeniu:

— Sporadyczne wypadki. To bardzo jeszcze trudno pogodzić te dwa światy: obowiązki w domu i poza domem. Należy mieć dużo... odwagi! Zresztą u nas — najrzetelniejsza działaczka nie wyrzeknie się nigdy najliczniejszego potomstwa. Aby zostać społeczniczką w wielkim stylu, należy przedtem zostać... matką.

Znowu uśmiech pobłażania z mej strony.

— Tyle kobiet, pozbawionych właśnie macierzyństwa oddaje się ofiarnie pracy społecznej na Zachodzie!

— Bo dopiero, gdy kobieta zostaje matką, staje się skończonym człowiekiem, dochodzi do pełni rozwoju i... zostaje otoczona należytych jej szacunkiem i czcią.

— A gdy nie danem jej jest wyjść zamaż, albo mieć dziecko? Musi się czuć głęboko upośledzona..., zresztą nasze obyczaje są inne od zachodnich: u nas rzadko dotychczas kobiety pozostawały bezżenne. O los córek zawczasu troszczą się rodzice.

— Ależ to właśnie okropne! Ten ślepy los dziewczęcia hinduskiego!

— Przymusu już dziś niema. To się zdarza chyba wśród ciemnoty. Rodzice bardzo kochają zazwyczaj swe dzieci. Gdy zaręczono mnie z synem zaprzyjaźnionej z nami rodziny — miałam lat dziesięć i czułam się dumna. Gdy ukończyłam lat piętnaście i wyszłam zamaż — byłam szczęśliwa.

— A gdyby w okresie tych pięciu lat pokochała pani innego?

— Ależ nikogo *obcego*, prócz swych domowników i rodziny narzeczonego nie widziałam! Dojrzywałam i uczyłam się w gronie rodzeństwa. Córkę moją wybrały już same...

— Nareszcie więc zaczyna tu być inaczej, *normalnie!* — wyrwało mi się.

— Zastanawiam się, czy w tym wolnym wyborze młodych, leży przynajmniej minimum gwarancji szczęścia i pewności dla kobiety? — powiedziała melancholijnym głosem moja kolorowa pani. — W takim razie czemu tak gwałtownie, tak pochopnie rozwodzicie się w Europie i Ameryce?

Milczę przez sekundę.

— Więc pani — mówię z żalem — jest raczej przeciwniczką wszelkich reform, dążących do wyzwolenia Hindusek? — Więc wszystko ma być tu, jak było: małżeństwo z nakazu, wczesne macierzyństwo, upośledzenie wdowy?

— Nie! Nigdy! — zaprzeczyła gorąco. — Nie rozumiemy się. Jestem za tem, aby u *nas* nie przeszczerano *na ślepo* wszystkich bez wyjątku zdobywcy emancypacji kobiet z Zachodu. Bo to się nie da... bo życie samo je wyruguje. Każdy naród, każda rasa ma swoje właściwości i organiczne odrębności, nie mówiąc już o tradycjach.

— Z pewnością należy u nas przerać i zmienić na lepsze wiele, b. wiele, lecz z uwzględnieniem przedewszystkiem natury i organizmu człowieka tutejszego. My tu pod zwrotnikiem dojrzewamy b. wczesnie, mamy inny temperament, możemy i *musimy wychodzić* daleko wcześniej zamaż. Staropanieństwo jest większą plagą dla kobiety wschodu, niż na Zachodzie, już choćby dlatego, że zamknięta w ciasnym kręgu rodziny — staje się kozłem ofiarnym wszystkich domowników, bez własnego kąta i wyraźnej roli. Dopiero łaska macierzyństwa nadaje kobiecie hinduskiej smak i cel życia, no i uznanie u mężczyzn.

— Zbyt wczesne, jak dotąd i zbyt intensywne staje się raczej przyczyną jej śmierci — wtrącam.

— Granica wieku małżeńskiego ustalona jest już dziś definitywnie: dla dziewczyny z ludu minimum 14 lat. W sferach inteligentnych granica ta oddawna była podniesiona. Gdy zostałam matką, kończyłam lat 16 i byłam najzupeł-

niej przygotowana do obowiązków, które mnie czekały.

— A wasze „maleńkie wdowy”? — pytam.

— Podpisuję się całkowicie pod tą najdonioślejszą reformą ostatniego pięciolecia, mimo trwającej wciąż wrzawy dokoła tego paragrafu Sarda-Act. Cieszę się, że podrastające pokolenie wdów — nie zostanie już odsunięte poza nawias życia. Ale wśród mas, obyczaj ten nie wcieli się tak łatwo w życie...

— Nawet teraz po wydaniu prawa normującego?

— Widzi pani, aby te sprawy zrozumieć, trzeba się wśród nich urodzić, wyssać je z mlekiem matki. W tem stanowisku Hinduski (niechęć do powtórnego zamążpójścia), tkwi nie tylko przypisywana jej na Zachodzie indolencja i bierność, ale spora doza czystości moralnej. Czystości jej myśli i wyobraźni. Poza tym, jedynym mężczyzną, którego Opatrzność zsyła jej na męża — nie dostrzeżona ona innych mężczyzn na świecie! Ona jest całkiem pochłonięta rolą, którą musi wypełnić wobec swego małżonka.

— Rolą?...

W tej chwili do biblioteki weszło z hałasem kilku Anglików. Kolorowa pani umilkła. Nieznacnym ruchem przesłoniła sobie pół twarzy. Utonęła w „Times’ie”. Nie usłyszałam więcej jej głosu. Ani dalszego ciągu jej wywodów. Musiałam czekać do jutra.

## DOKĄD DAŻYMY MY, HINDUSKI?

Z panią Hamidą Szimati Sawmy spotkałam się nazajutrz. Przyniosła ze sobą swoją własną hinduską gazetę. Była czemś bardzo poruszona. Za parę dni miał zresztą odwiedzić ją małżonek; czyżby bliskość tych odwiedzin tak ją zelektryzowała?

Lękałam się każdego mego zbyt obcesowego zapytania. Ale sama przyszła mi z pomocą.

— Myślałam właśnie, w jaki sposób mam pani wytłómaczyć rolę Hinduski, pojętą w najszczytniejszym znaczeniu... My jesteśmy bardzo religijne. Wszystkie przykazania w świętych księgach Wedy i Sastras sprowadzają się do tego, że kobieta stworzona jest i egzystuje na tej ziemi jedynie dla... zbawienia mężczyzny, „for the sake of man!” Ona stać musi na straży wszystkich jego cnót; jej zalety moralne, zwłaszcza dobroć i wyrozumiałość, kru-

szyc winny w zarodku wszelkie nieprawości i ułomności moralne towarzysza jej życia. Wiara w jej czystość, a więc i odrębność duchową zachowała się po dzień dzisiejszy w wyższych kastach hinduskich. Stąd zapewne w naszej mitologii tyle opiekunek ludzkości: Bogini Macierzyństwa, Ogniska Domowego, Szczęścia Rodzinnego, Muzyki, Sztuk Pięknych, Wiedzy, Mądrości...

— I dlatego właśnie, w nagrodę za jej poświęcanie się i zalety, te same księgi Sastras odmawiają jej, jak wiadomo... człowieczeństwa i zbawienia wiecznego, wyznaczając jej podrzędniejsze miejsce na ziemi i po śmierci! — zaryzykowałam.

Krótkie milczenie. Po chwili moja rozmówczyni podejmuje.

— Lecz może właśnie te cierpienia doczesne uszlachetniają jej duszę? Zmuszają kobietę hinduską do bezustannej czujności nad sobą. Psychika jej od dzieciństwa dojrzewa i kształtuje się na zgoła innych fundamentach, niż psychika kobiety Zachodu. Z jednej strony utwierdza się ona w przekonaniu swej wyższości moralnej i nakazu spełnienia pewnego posłannictwa na ziemi, z drugiej musi się godzić na przeświadczenie niższości swego gatunku i zależność w tym wypadku od mężczyzny. Stąd owa rozbieżność zdań w ocenie kobiety hinduskiej. Bo, gdy dla mas ciemnych będzie ona wciąż tylko o-wym niższym gatunkiem człowieka; w kastach wyższych i sferach inteligentnych zajmuje raczej to drugie miejsce, jasnego ducha ogniska domowego. Zresztą i obyczaj w tych sferach już złagodzone, dają inny efekt zewnętrzny. Kobieta - matka nierzadko otoczona tu jest taką czcią, o jakiej marzyłoby wiele kobiet na Zachodzie...

— Wie pani, co mię uderzyło w Indjach najbardziej w pierwszym dniu przybycia, gdy spotykałam po drogach pospieszające tłumy wieśniaków, że mężczyzna kroczy zawsze naprzód, kobiety stylu, objuczony rozmaitym ciężarem, jak walizki. On nie dźwiga nic, najwyżej nieodzowny parasol, jako... emblemat władzy i przywilejów życiowych.

— Tak jest w istocie wśród mas. Obyczaj, wsparty na stuleciach, trwa. Zresztą, między innymi tłumaczeniami faktu kroczenia mężczyzną naprzód z próżnymi rękoma, znajduje się i... gotowość samca bronienia przed niebezpieczeństwem swej rodziny. Takie przemarsze po drogach hinduskich od wsi do wsi nie pozbawione są niespodzianek w postaci węży, od których tu się roi, napaści dzikich zwierząt itd. Zato w sferach zamożniejszych, prawie że jest odwrotnie: ona nie chodzi nigdzie i *nic* nie dźwiga; jeździ własną tongą

---

N e p a l k a  
na plantacji  
herbaty.

---



lub lektyką w otoczeniu licznej służby. To on raczej kroczy nierzadko *per-pedes* za pojazdem swej pani.

— A jednak skazuje ją na banicję i wygania z domu według kaprysu!

— Pani ma na myśli tutejszą wygnanek? Sporadyczny wypadek! Niewiadomo zresztą, jak długo potrwa ta nielaska? A tuż obok, w sąsiedztwie, drugi maharadża oplakuje zmarłą swą tragicznie małżonkę i ma wzniesć na jej cześć mauzoleum, mimo że darowała mu aż cztery córki...

— Przyzna pani jednak, że owa osławiona uległość, a raczej serwilizm każdej córy Wschodu, który sprawia, iż bez szemrania spełnia ona najfantastyczniejsze bodaj rozkazy swego pana i władcy, jest co najmniej denerwujący dla Europejki.

— Zapewne, proszę nie zapominać jednak o tylu wiekowej niewoli, która się wżarła w psychikę Hinduski. Tylko stopniowe podniesienie poziomu mas i przymusowe szkolnictwo wśród dziewcząt, (o tem dotychczas głucho!) przyczyni się do zrównoważenia praw moralnych między mężczyzną, a naszą kobietą.

— Przydałoby się również *waszej* kobiecie pozbycie się lęku wobec mężczyzny, wyrobienie w sobie świadomości własnych wartości, no i... szczypta bodaj egoizmu, dodaje. Pani Hamida Szimati uśmiecha się z troską na twarzy.

— Ale znowu obawiam się drugiej ostateczności. Naturę mamy namiętą, obdarzoną bujnym tem-

peramentem, (w tym wypadku intensywne macierzyństwo odgrywa rolę pewnego hamulca), owe zrównanie praw nie powinno oznaczać, że Hinduski mają dążyć do obniżenia swych ideałów. Bo... bo... jeżeli naszym mężczyźnie przysługuje od wieków prawo posiadania kilku żon naraz, nie oznacza to, że i my mamy dążyć do poligamji, lub pozwalać sobie na podobne bezwstydne wystąpienia publiczne.

Tu czekoladowa pani porwała hinduską gazetę i odszukawszy na ostatniej stronie kilka ogłoszeń, jęła mi tłómaczyć, przejmując się coraz bardziej.

— Doznaję niemałego upokorzenia, gdy wpadają mi w oczy owe „nowalje“ obyczajowe, owe pierwsze próby zawierania tą drogą związków matrymonjalnych, te oto ogłoszenia...

Gdy skromność, czystość obyczajowa i duma kobiety Wschodu, gdy rozpoczyna ona w prasie reklamować swoją urodę, wdzięki, narzucać siebie — tak na ślepo, pierwszemu lepszemu przechodniowi, którego nie zna ani jej rodzina ani przyjaciele. To gorsze ryzyko, niż małżeństwo z nakazu...

„Oh, East is East, and West is West, and never the twain shall meet...“\*) dodaje na pożegnanie pani Sawmy, ściskając mocno moją dłoń.

\*) (O, Wschód jest Wschodem, a Zachód — Zachodem i nic ich nie może zespolić...)

R. Kipling.  
Mussoorie 1934.



Ś. P. ZOFJA KADENACOWA

Ś. P. ZOFJA KADENACOWA.

W wieku lat 70 zmarła siostra Marszałka Piłsudskiego, ś. p. Zofja z Piłsudskich Kadenacowa, wdowa po ś. p. Bolesławie.

Ś. p. Zofja Kadenacowa urodziła się w roku 1865, jako druga z rzędu córka b. komisarza Rządu Narodowego na Żmudzi Józefa Piłsudskiego i Marji z Billewiczów. Była o rok starsza od ś. p. Bronisława Piłsudskiego i o 2 i pół roku starsza od Marszałka.

Początkowo kształciła się w domu, pod kierunkiem matki, potem przez kilka lat w Wilnie, wreszcie w Warszawie, na pensji p. Krzywobłockiej. W cztery lata później ś. p. Zofja wyszła za mąż za młodego, lecz już bardzo znanego chirurga, dr. Bolesława Kadenacego i od tego czasu mieszka wraz z mężem przeważnie w Wilnie.

Jako żona i matka była przedstawicielką tych licznych na ziemiach wschodnich matron, które, podobnie, jak jej matka, Marja z Billewiczów Piłsudska, była wzorem kapłanek domowego ogniska i uosobieniem kobiecości. Jej stosunek do młodszego brata, Józefa Piłsudskiego, odznaczał się specjalną tkliwością, którą zachowała z niezmienną świeżością do ostatnich dni życia. Ona to głównie utrzymywała z Nim korespondencję w czasie zesłania na Sybir, z Jej listów czerpał otuchę i siły do dalszego cierpienia.

Zgasła cicho w otoczeniu licznej grona uwielbiającej ją rodziny, pozostawiając po sobie ten szczerzy i serdeczny żal, jaki wzbudzić mogą tylko istoty obdarzone sercem pełnym miłości, wyrozumiałości i dobroci.

## Z żałobnej karty

Ś. P. BOLESŁAW LIMANOWSKI.

Zmarł jako starzec niemal stuletni, ten żywy pomnik całego wieku walk niepodległościowych.

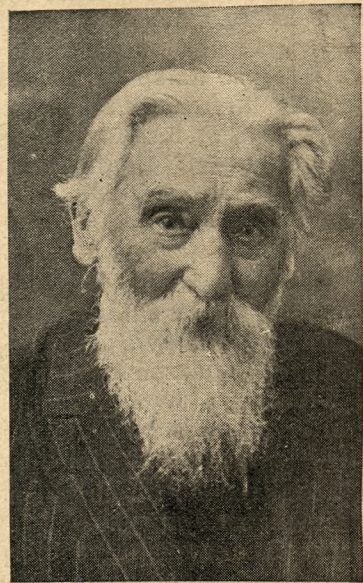
Urodzony w dn. 30 października 1835 r. w Podgórzu, pow. dynaburskiego, w polskich Inflantach, w okresie reakcji popowstaniowej, wyniósł już z dzieciństwa, z domu rodzinnego, pragnienie walki z zaborcą.

Początkowo Limanowski, kończąc gimnazjum i rozpoczynając studia na uniwersytecie w Moskwie, obraca się w kołach wolnościowej młodzieży rosyjskiej, ale wkrótce nawiązał kontakty z młodzieżą polską i z całym zapalem rzucił się w wir życia organizacji patriotyczno-radikalnej. W r. 1858 Limanowski przeniósł się na uniwersytet w Dorpacie. Tutaj zakłada organizację ideową młodzieży polskiej, a potem pracuje nad powiązaniem węzłem organizacyjnym całej młodzieży naszej, studjującej na uniwersytecie w Rosji.

Idee Limanowskiego zbliżają Go do polityki emigracyjnego Towarzystwa Demokratycznego. Dla nawiązania osobistego kontaktu i przygotowania się do przyszłych walk udaje się w r. 1860 do Paryża, gdzie wstępuje do szkoły wojskowej, prowadzonej przez Mierosławskiego i Wysockiego. Równocześnie kontynuuje studia w Sorbonie i Collège de France.

W lutym 1861 roku nastąpiły w Warszawie pierwsze krwawe manifestacje, zapowiedź zbliżającego się powstania. Na wieść o tem Limanowski opuszcza Paryż i powraca do kraju, gdzie w Wilnie bierze czynny udział w przygotowaniu zbrojnego wystąpienia. Natychmiast potem zostaje aresztowany i zesłany do gubernji archangielskiej.

Powróciwszy z zesłania do Warszawy, wchodzi w „lud“ robotniczy. Pragnąc poznać warunki jego pracy, zostaje robotnikiem fabrycznym. Są to jednak lata straszliwych represyj. Więc przenosi się do Krakowa, i staje się wkrótce czołowym przedstawicielem socjalizmu narodowego. Wkrótce spadać poczyna na Limanowskiego represje i w r. 1878 zostaje wydalony z granic Austrii. Rozpoczęła się tułaczka, trwająca 29 lat, gdyż dopiero w r. 1907 pozwolono mu wrócić do Krakowa. W czasie pobytu zagranicą, sędziwy już działacz wziął czynny udział w organizacji P. P. S., w której szereгах pozostał aż do śmierci.



Ś. R. BOLESŁAW LIMANOWSKI

Był już starcem 85-letnim, gdy ucieleśniło się największe marzenie jego życia — Polska odzyskała niepodległość!

W r. 1922 Limanowski zostaje senatorem Rzeczypospolitej, piastując ten mandat do ostatnich dni życia.

W dn. 14 grudnia ub. r. Uniwersytet Warszawski nadał mu w uznaniu jego zasług, doktorat filozofji honoris causa.

Działalność Limanowskiego jako historyka zapewnia mu trwałe stanowisko w dorobku nauki polskiej. Pierwsza jego książka, to „Historja powstania narodu polskiego w latach 1863—64“.

Ukazują się kolejno dzieła: „Historja Demokracji Polskiej w epoce porozbiorowej“, „Stuletnia walka narodu polskiego o Niepodległość“, „Naród i państwo“, „Rozwój przekonań demokratycznych w narodzie polskim“, „Odrodzenie i rozwój narodowości polskiej na Śląsku“, „Szermierze wolności“, „Historja ruchu rewolucyjnego w Polsce w r. 1846“.

Marszałek Senatu Raczkiewicz w swojej mowie nad trumną Limanowskiego tak scharakteryzował Jego duchową sylwetkę:

„Przeżył On przeszło 80 lat, poprzedzających powstanie Państwa Polskiego. Będąc dzieckiem swego wieku, żywo reagował umysłowo na powstające i przeżywające się w tym okresie prądy umysłowe, a z właściwym Mu entuzjazmem odczuwał szlachetność, nieskazitelność i piękno. Jedno było Mu obce, w jednym nie ulegał temu właściwemu zbiorowiskom ludzkim falowaniu odczuć i stanów duchowych, nie poddawał się nigdy zwątpieniu“.



# Wychowanie i szkoła

## Kim jest moje dziecko?

— Dziecka mego nie wolno mi uważać za „provincję zabraną”. To kraj, rządzący się autonomicznie własnymi prawami. Niezawsze rozumiem ich sens i celowość. Ale muszę liczyć się z nimi poważnie, bo na nie się nie przyda, jeżeli będę je gwałcić lub naginać do swoich własnych wyobrażeń. Spaczę tylko to, co jest proste, zaciemnię to, co jest jasne.

Oto punkt, z którego trzeba wychodzić, rozpoczynając pracę wychowawczą.

Jest przecież powszechnie i nie od dzisiaj wiadome, że dziecko inaczej myśli, inne przeżywa reakcje wzruszeniowe, inne ma zainteresowania, niż człowiek dorosły. A jednak do tej odrębnej osobowości, do tej struktury psychicznej, tak różnej od naszej, przykładamy ustawicznie miarę i ocenę taką, jakiej sprostać może jedynie psychika dojrzała.

Ileż nieporozumień nastęrczyć może *egocentryzm dziecięcy*, to instynktowne i naiwne sprowadzanie wszystkiego do siebie, jako do punktu środkowego świata. Odrazu budzi się w nas przekonanie: egoizm! nasze dziecko jest z gruntu samolubne! I rozpoczynamy akcję moralizatorską.

A nie jest to cudowne w skutkach współodkrywanie z młodą wrażliwością nowych dróg, które wiodą ku dalekim, zapalającym się na horyzoncie ogniom, lecz grubo podszyte utylitaryzmem, niemoralne w gruncie rzeczy nakłanianie dziecka, by liczyło się ze zwyczajami starszego społeczeństwa.

Trudzimy się napróżno.

*Dziecko rochlania tylko peroną możliwą dla niego do przyjęcia ilość prawd i wskazówek.* To,



czego nie może zasymilować, odrzuca. I na to niema rady.

Widziałam, jak mały rozhukany chłopak szalał w pokoju, w którym pracowali jego rodzice. Matka zaczęła mu tłumaczyć, dlaczego teraz właśnie nie należy hałasować. Wykład był treściwy, przekonujący i trwał trzy minuty. Przez ten czas chłopak duchem był nieobecny. Skurczył się, zmalął, cały wciągnął się w siebie, zagasił blask pałających oczu. Dopiero gdy umilkł głos, natrętnie brzęczący mu koło uszu, ożył, rozblysnął na nowo ogniem i bez namysłu runął ku przerwanej na chwilę zabawie. Był bezwątpienia w okresie całkowitego podporządkowania się instynktowi. Wola i rozsądek nie dochodziły w nim do głosu. Cóż można było z nim począć? Uzbroić się w cierpliwość i czekać.

Sądzę, że w bardzo wielu wypadkach należy stosować tę właśnie metodę. Czekać cierpliwie, aż rozwijające się w sposób naturalny siły powiodą dziecko ku coraz bardziej świadomej pracy nad sobą, narazie stwarzając mu jedynie sprzyjającą ich rozwojowi czystą atmosferę, wolną nade wszystko od elementu rozdrażnienia i przymusu.

Najczęstszym naszym grzechem wychowawczym jest *sugerowanie dziecku jego wad i braków*. Zamiast mówić „jesteś udanym chłopcem i wszystko możesz osiągnąć”, wypomina mu się raz po raz przy różnych okazjach jego niedostatki moralne, stwierdzając przytem doskonałą pożywkę dla bakterij, panoszących się może tylko chwilowo w młodym organizmie.

Najlepiej byłoby, gdyby o swych błędach dzie-

cko nigdy od nas nie słyszało. Brudne mogą być ręce, niedbale odrobione zadania. Na to zgoda! Ale brudasem lub leniuchem nie trzeba nazywać ich sprawcy. Punkt ciężkości zła lepiej jest przerzucić poza osobowość dziecka. Akt skruchy, polegający na obrzydzeniu sobie grzechu, jest znacznie korzystniejszy dla psychiki grzesznika, niż obrzydzenie sobie własnej natury, tem więcej, że zawsze zachodzi rozbieżność między czynem złym a wnętrzem duchowym winowajcy. Dziecko, najtkliwiej kochające swą matkę, może w pasji uderzyć ją, chociaż tego rodzaju czyn wykracza daleko poza jego moralne możliwości i nie świadczy ani na chwilę ujemnie o jego wnętrzu duchowym.

Uprzytomnijmy sobie, że mamy w rzeczy samej nieograniczoną i wręcz brutalną władzę nad dzieckiem.

Niewątpliwie kochamy nasze dzieci. A jednak trzymamy je w gorzkiej i poniżającej niewoli.

Przy stole, gdzie są obcy, matka zmusza dziesięcioletniego chłopca do zamilknięcia. Nie mówił nie niestosownego, chciał jedynie wyrazić swą opinię. Jednocześnie wiadome jest, że w domu czyści synowi buty i biega do sklepiku po stalówki i cukierki. Więc jakże to? Raz mały bożek, któremu służy się z pominięciem osobistego prestiżu, a kiedyindziej nie znacząca figurka, bez prawa głosu. Czyż nie byłoby właściwiej obarczyć go pewnymi ciężarami życia, a jednocześnie nadać pełnię praw obywatelskich?

Nigdy nie zapomnę pewnego uczniaka, który, z uwagą śledząc rozmowę starszych, podchwycił nieznane sobie nazwisko i zapytał z zainteresowaniem:

— A kto to był Frycz Modrzewski?

Odrąz stało się jasne, że znów oto wielka indywidualność miała się zetknąć z niedojrzałą plastyczną osobowością i nawiązać jakiś nieznanym bliżej kontakt. Jednocześnie to wszystko, co przedstawia zjawisko, zwane Fryczem Modrzewskim stawało przed nami w nowej wyrazistości konturów,

dzięki jednemu rozciekawionemu błyskowi mądrych, dziesięcioletnich oczu.

*Dzieci naprawdę są znacznie wyżej zaawansowane umysłowo w stosunku do swych lat, niż nam, dorosłym, to się wydaje.* Najczęściej jest tak, że książki, przeznaczone dla dziesięcioletnich, zadawają zaledwie siedmiolatków, podczas gdy tamci, uczniowie czwartej powszechnej, chwytają Trylogię. Jeżeli chodzi o ocenę dojrzałości umysłowej naszych dzieci, to wprowadza nas często w błąd literatura dziecięca, lansująca pewien sztuczny infantylizm. O dzieciach kilkunastoletnich mówi się tam często, jak o maleństwach. „Maleńki podniósł złotą główkę i spojrzął błękitem ocząt”. Zasadnicze nieporozumienie.

Czytelnicy odrazu czują w tem fałsz i są zrażeni. Wiedzą, że ten ich towarzysz jest „maleńki” tylko w oczach dorosłych, a naprawdę jest prawdziwym chłopcem. Zamiast bezsensownych „ocząt” ma bystre oczy, które wszystko w lot chwytają, zamiast „główek” mocną głowę na karku. Jeżeli zaś tego wszystkiego nie posiada, to doprawdy nie warto się nim zajmować.

Ten infantylizm bohaterów powieściowych sprawia, że dzieci wolą opowiadania, w których występują wyłącznie dorośli. Tam bowiem mają prawdziwe sprawy i poważne, męskie ich traktowanie.

W zachowaniu bowiem naiwni, dziecinni, nieobliczalni, wpadający z jednego głupstwa w drugie, z nedorzecznosci w nedorzecznosc, w swym rozwoju umysłowym chwytają naprawdę tempo czasu. Cały świat ogarniają swymi zainteresowaniami, a przeżycia ich nie są bynajmniej uboższe od przeżyć człowieka dorosłego.

I wobec tych inteligentnych istot stosuje się terror. Nie traktuje się ich w pełnym poczuciu zobowiązanej wartości. Sądzę, że tkwi w tem bardzo poważna niesprawiedliwość i duży błąd pedagogiczny.

Czy nie należałoby raczej otworzyć jak najszerzej okna dziecinnego pokoju na słońce, swobodę, radość a jednocześnie na powagę życia.

Zofja Sikorska - Bogusławska.



M. CZERKAWSKA

# Jędrus

*Jak kot Kiplinga chodzi swojemi drogami,  
przepada w sadach, haszczach, olszynach, opłotkach,  
i nic go nie przywabia, nikt go nie odkryje,  
chyba mała jamniczka, czarno-żółta Psotka.*

*Zna każdą jabłoń, jagnię, pisklę w gołębniku,  
oksydowaną gwiazdę misternych gniazd osich — —  
W mrocznych a czarodziejskich zakamarkach lasu  
każdego ptaka zdala rozróżni po głosie.*

*Ma kryjówkę nad stawem, dokąd się przemyka  
omijając ostrożnie ogrodowe ścieżki — —  
Tam mędrują pudelka, sznurki, stare gwoździe,  
łopaty wyszczerbione i pokłute deski.*

*Któż zgadnie, jakie siły odważnie ujarzmia,  
jakie daje problemy mózgowi, ramionom,  
i jakim snem wszechroladnym tworzy rzeczywistość  
w cichem laboratorium pod trzmielin osłoną.*

*Może już poniesione klęski i zwycięstwa  
cieniami zadumania na czolo się kładą — —  
a usteczka odyma dyskretnie półśmiech  
kiedy fanfara śmiechu mogła dzwięczać radość.*

---

HANNA KORYZNA

## Stosunek społeczeństwa do dziecka

To ważne zagadnienie było osią obrad dwudniowego Zjazdu Stowarzyszenia Uczestników Walki o Szkołę Polską, który odbył się w Warszawie w dniach 2 i 3 lutego r. b.

Nikt bardziej od tych ludzi, których lata młodzieńcze zatrwały zmagania się z najniebezpieczniejszymi, bo kruszącymi ducha narodu, zakusami wrogiej przemocy, nie zdaje sobie sprawy z tego, jak wielką rolę w życiu młodzieży odgrywa ustosunkowanie się do niej starszego społeczeństwa.

Uczestnicy Walki o Szkołę Polską we własnej młodości spotykali się z brakiem zrozumienia i otuchy ze strony starszych. Przeważnie jeszcze niedorośli sami musieli borykać się z zagadnieniami, przerażającymi ich siły. Dlatego teraz sercem odczuwają krzywdę, jaka się dzieje dzieciom, które, jak to ślicznie określiła w swym referacie zjazdowym p. Helena Radlińska, „nie mają prawa do dziecięctwa“.

Społeczeństwo za mało troszczy się o to, żeby dzieciom w Polsce

było dobrze. Wiele na tem polu zrobiono, ale mnóstwa dzieci akcja społeczna jeszcze nie objęła. W dzisiejszych trudnych czasach, przy wciąż zwiększającej się kompresji budżetowej rozbudowa szkół nie może nadażyć w stosunku do polskiego przyrostu naturalnego i z roku na rok coraz więcej dzieci nie ma możliwości kształcenia się. Obecnie już około 600 tysięcy dzieci w wieku szkolnym uczyć się nie może.

Krzywdą, jaka stąd dla tych dzieci wynika, jest tem głębsza, iż szkoła daje nietylko wiedzę, ale i wychowanie obywatelskie. Szkoła rosyjska działała na młodzież destrukcyjnie, ale mimowoli wychowywała obok jednostek straconych dla kraju charaktery silne, głęboko czujące w duchu narodowym. Dzisiejsza nasza szkoła polska wychowuje ludzi, którzy będą zdolni do podjęcia swych obowiązków obywatelskich. Teraz zaprawia dzieci do życia w społeczeństwie — tymczasem na maleńkim terenie szkolnym czy między szkolnym.



Dziecko jest nietylko przyszłym obywatelem kraju, ale już dziś jego współobywatelem, jak mówiła p. Radlińska. Jeżeli jakaś szkoła w stolicy nawiązuje serdeczny kontakt ze szkołą na kresach Polski, wówczas wzrasta spójność narodu i rośnie obywatelskie uczucie w dzieciach, które wyciągają koleżeńską dłoń do swych dalekich rówieśników. Jeżeli 180 dzieci ze szkół warszawskich, jak mi to mówił dyr. Stefan Drzewiecki, z olbrzymim entuzjazmem jedzie na dzień 11 listopada do wioski mazurskich, aby tam obchody niepodległościowe urządzać — i wówczas wzmaga się tężyzna narodu. Niestety jednak tego rodzaju faktów zawiele niema, gdyż siły nauczycielskie i możliwości szkoły są ograniczone, zaś społeczeństwo — nawet to najkulturalniejsze — odnosi się do spraw wychowawczych z niezwykłą obojętnością.

Dziecko materialnie jest złym interesem. Kapitał, włożony w wychowanie i wykształcenie dziecka, amortyzuje się bardzo powoli. Trzeba bardzo dzieci kochać, ro-

zumieć ich wartość społeczną dla odradzania się narodu, aby się właściwie do dzieci ustosunkować.

W referacie swym („Stosunek do dziecka, jako wyraz kultury“) dyr. Stanisław Dobrowolski przeprowadził paralelę odnoszenia się starszego społeczeństwa do dziecka u różnych narodów. I tak: w Austrii dzieci są bardzo kochane i traktowane z najbardziej serdeczną troską. W zmaterializowanej Francji dzieci są złem koniecznym i raczej ciężarem. Prusy i Włochy swoiście odnoszą się do dzieci. W Stanach Zjednoczonych, gdzie klęska włóczęgostwa dzieci przybrała tak zastraszające rozmiary, dziecko jest w najlepszym razie własnością rodziny, ale nie troską społeczną. Cudowny natomiast stosunek do dzieci jest w Japonii, gdzie, jak twierdzą, nie słyszy się płaczu dziecka“. W kraju tym życzliwość do dziecka obejmuje nie tylko małych Japończyków, ale potrafi serdecznie odnieść się nawet do cudzych dzieci. Dość wspomnieć niezwykle serdeczną opiekę, jakiej doznały polskie dzieci, więzione parę lat temu z Bol-szewji tranzytem przez Japonję.

Jaki jest w Polsce stosunek całego społeczeństwa do dzieci i młodzieży? Jak to słusznie zauważył dyr. Dobrowolski, Polacy są bardzo słabo uspołecznieni. Polak żyje tylko w rodzinie. Może nawet bardzo kochać dziecko, ale tylko swoje własne. W stosunku do „cudzego“ ma silne poczucie obcości, jest dla niego najzupelniej obojętny.

I tu właśnie kryje się zło największe. „Ta obojętność wobec młodego pokolenia nie sprzyja rozwojowi uczuć społecznych u dzieci i młodzieży, niedostatecznie spaja pokolenie dojrzałe z rosnącym, zagadnienia społeczne, związane z rozwojem dziecka, spycha na plan dalszy, uboży przyszłość rozwoju narodowego“.

Bardzo ciekawy i jak zawsze świetnie opracowany był referat red. Wojciecha Stpiczyńskiego p. t. „Wpływ obyczaju na wychowanie i kształtowanie się dziejów narodu“. W gorących słowach red. Stpiczyński dowodził wartości wychowawczej poczucia „honoru służby“ zamiast kary i różgi. Przytaczał druzgoczące rezultaty przeprowadzonej przez siebie w „Kurjerze Porannym“ ankiety w sprawie stosowania w szkołach kar cielesnych. Według nadsyłanych z prowincji listów nauczycieli szkół powszechnych okazuje się, że niejednokrotnie ciemni rodzice sami żądają, aby w szkole bić dzieci. Jeżeli nauczyciel czy nauczycielka nie chce tego robić, wówczas traci we wsi grunt pod nogami. Oczywiście trafiają się i wypadki prawdziwego sadyzmu nauczycieli, przeciążonych pracą pedagogiczną nad setką nieraz dzieci w ciasnej izbie szkolnej, ale to już inna sprawa.

Red. Stpiczyński z całym naciskiem zwracał uwagę na demoralizujący wpływ tego rodzaju metod wychowawczych, które mszczą się na przyszłym życiu obywateli. Bicie czy nieproporcjonalne do przewinienia kary zabijają w dzieciach poczucie odpowiedzialności, zaufanie do kierowników i wiarę we własne siły. Dlatego tak bardzo należy uświadamiać najszerzy ogół rodzicielski o zadaniach wychowawczych nie tylko w stosunku do własnych dzieci, ale wszystkich polskich dzieci wogóle.

W oświetleniu referatu red. Stpiczyńskiego tem bardziej uwydatniła się waga zagadnienia właściwego stosunku społeczeństwa do dziecka i konieczność wytworzenia zwartej opinii społecznej w kierunku jak najwyższego interesowania się wszystkim, co młodzieży i dzieci dotyczy, nie tylko ze stanowiska opiekunów czy obserwatorów, ale ze stanowiska prawdziwych przyjaciół młodzieży.

---

*Celem uniknięcia opóźnień i przerw w wysyłce pisma prosimy o punktualne wpłacanie prenumeraty. Najdogodniejszym sposobem uiszczania należności są pocztowe prenumeracyjne przekazy rozrachunkowe (błękitne), przy użyciu których nadawca nie ponosi opłat porta. Blankiety w cenie 1 gr. za sztukę nabyć można w każdym urzędzie pocztowym.*

---

## Przegląd czasopism pedagogicznych

„Gimnazjum“, organ Sekcji Szkolnictwa Średniego Związku. Listopad 1934 r. Warszawa. W szeregu ciekawych artykułów wyróżnia się nowością koncepcji i opracowania praca p. Ireny Michałowskiej: „Gry“ w nauczaniu historii“.

„Miesięcznik literatury i sztuki“. Listopad 1934 r. Warszawa. Zawiera scenę z dramatu „Dyktator Faust“ Jerzego Zawieyskiego, artykuł J. Zadury o poezji Legjonów, z licznymi cytataми Mączki i Małaczewskiego, oraz artykuły z zagadnień wiedzy i sztuki, ciekawą korespondencję o ruchu artystycznym i literackim Lwowa, pióra T. Terleckiego.

„Teatr w Szkole“. Listopad 1934 r. Warszawa. Na podkreślenie zasługują dwa artykuły piór kobiecych „Teatralizacja jako jeden ze środków dydaktycznych“ H. Tyrankiewiczowej i „Inszenizacja samorzutna“ N. Zarembiny, dalej szereg bardzo dobrych wskazówek wykonania kostiumów, zamieszczonych w załączonym dodatku.

„Śpiew w szkole“, organ Sekcji muzyki i śpiewu. Listopad 1934 r. Warszawa. Również dwa artykuły kobiece: „O polskich tańcach“ dr. E. Elsnerówny i „Maciej Kamieński, twórca opery polskiej“ w 200 rocznicę urodzin, pióra St. Szczepkowskiej. Poza tem artykuły teoretyczne i praktyczne z zakresu nauki śpiewu w szkole.

„Wychowanie Fizyczne w Szkole“, organ Sekcji wychowania fizycznego Związku. Listopad 1934 r. Warszawa. Obfite ilustracje ciekawych artykułów i wskazówki praktyczne.

„Praca w klasach łączonych“, organ Wyzd. Pedag. Związku. Listopad 1934 r. Warszawa.

„Szkoła Doksztalająca Zawodowa“, organ Sekcji Szkolnictwa Zawodowego Związku. Listopad 1934 r. Warszawa.

---

## Już się ukazał miesięcznik

### PARYŻ-WARSZAWA

Praktyczny, tani, dawno oczekiwany ŻURNAL wytwornej pani dostarcza na zamówienie formy bibulkowe wszystkich modeli, zaopatrzonych numerami podanymi w żurnalu 32 strony druku. 100 wykwinnych modeli. Barwne ilustracje. Bogata treść informac.

CENA POJEDYŃCZEGO NUMERU **90** GR.

PRENUMERATA: rocznie zł. 10.00, półrocznie zł. 5.00, kwartalnie 2 zł. 70 gr.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17 m. 3. Tel. 2-44-18, 5-87-03 i 6-76-72.

# Z teatrów

„Wielki człowiek do małych interesów” Fredry w teatrze Narodowym.

Tytuł tej komedji stał się przysłowiem, a typ człowieka, czasem w odwrotnym sensie („mały człowiek do wielkich interesów”) przetrwał do dziś dnia — jest nieśmiertelny. Te cudowne pomysły, to wytaczanie ciężkiej kolubryny dla zburzenia domku z kart, te kunktatorskie plany, które rzeczywistość zdmuchuje, jak bańkę mydlaną — znamy to wszystko dobrze, aż nadto dobrze z doświadczenia. To, pokazana w karykaturze i grotesce, ta sama „L'improductivité slave”, którą w hamletowskim sosie podał nam kilkadziesiąt lat później Sienkiewicz w swoim Płoszowskim. Co więcej, ten dziedzic, tonący po uszy w kartotekach, statystykach i korespondencjach, a pomijający sprawę kupna paszy dla bydła, toż to patron i protoplasta dzisiejszej biurokracji.

W samym nazwisku „Jenialkiewicz” tkwi persiflażowy pierwiastek „jenjalności”. Ten Jowisz prowincjonalny, w oczy krytykowany i wyśmiewany przez najbliższe otoczenie, żyje złudną swą wielkością; a że jest z natury dobroduszny, więc jego genialne pomysły mało komu szkodę przynoszą.

Spowodu ostatniej premjery niektórzy krytycy pokusili się o rehabilitację Jenialkiewicza. Jan Nepomucen Miller widzi w nim tragedję samouka, któremu brak metody pracy i dlatego po raz dziesiąty odkrywa Amerykę. W jego naiwnych dociekania i korespondencjach upatruje próbę rozrzucaenia sieci stacyj meteorologicznych, a nawet zarodki darwinizmu i ewolucjonizmu. To tylko ten wstecznik Fredro, który pod wpływem złośliwych krytyk usunął się od życia i sceny, w swojej dobrowolnej bezczynności znęca się nad pionierem Jenialkiewiczem.

Nie przesadzajmy, a przede wszystkim bądźmy sprawiedliwi. Nie upatrujmy w Jowialskim gryzącej satyry na bezmyślność, a w Jenialkiewiczu — zapoznanego geniusza. Weźmy go takim, jakim go chciał mieć Fredro: manjakiem o złotem sercu, szerokich aspiracjach i zupełnym braku zdrowego rozsądku, sprytu i intuicji. To wystarczy na typ, ale nie wystarczy na komedję. Do intrygi komedjowej potrzebne będą dwie bratanice i aż trzech ich adoratorów. A zatem konkury i marjaże, jak w „Ślubach Panieńskich?”. Tak, ale i coś więcej jeszcze. Trzeba przecież „Wielkiego człowieka” pokazać na arenie publicznej, w jednej z tych jego szeroko zakreślonych kampanij strategicznych, które kończą się sromotnem fiaskiem.

Ale tutaj powinęła się noga nie Jenialkiewiczowi, ale jego pupilowi, Dolskiemu. Ten poczciwy safandula, którego marzeniem jest „piastować” urząd, a powołaniem piastować liczną in spe progeniturę, to drugi świetny, nawskroś polski typ człowieka z ambicjami, a bez inicjatywy, nieświadomego swych istotnych wartości pionka, który kroku nie śmie uczynić bez wskazówek swego protektora, i nawet o rękę ukochanej panny sam się oświadczyć nie potrafi.

Cały akt czwarty (w zajeździe przed wyborami) to jedno krótkie spięcie żywiołowego humoru, które wynagradza nam



„Wielki człowiek do małych interesów”. Smosarska, Zelwerowicz i Barszczewska.

bladość i dłużyzny poprzednich aktów. Dolski, miotający się w sieci niespodzianych terminów, własnego braku orientacji a przede wszystkim niewolniczo pojętych obowiązków towarzyskiej uprzejmości, które go wreszcie, łagodnego jak jagnię, doprowadzają do brutalnego wybuchu — to świetna satyra na polskie bezhołowie i brak racjonalnej organizacji pracy. Dzisiaj ten akt, sam w sobie stanowiący całość — fajerwerk humoru, nazwalibyśmy skeczem. Tak też był potraktowany przez reżyserję i wykonawców i kto wie, czy nie on zadecyduje o powodzeniu sztuki.

Bo zresztą, przykro to przyznać, ale z przewlekłej mocno ekspozycji wieje jakaś przygnębiająca pustka i nuda, nieznaną z innych komedij Fredry. Czyżby autor już się do tego stopnia zestarzał, że potrzebował dłuższego rozpędu, aby zadziwić widzów godnym siebie lwim skokiem? A może to my tak daleko odeszliśmy od tego prowincjonalnego światka drobnych trosk życiowych i płytkich kłopotów matrymonjalnych?

Sposób wystawienia sztuki był niezdecydowany w stylu. Jedyną postacią naprawdę fredrowską stworzył Fritsche w roli starego pana Ignacego. Zelwerowicz był międzynarodowym Jenialkiewiczem, raczej mieszczańskim, niż szlacheckim. Jego fanaberjom brakło pańskiej fantazji. Zato było „jenjalne” opanowanie psychiki manjackiej, dalekie od łatwych efektów szarży. Maszyński, ucharakteryzowany na młodego Don Kiszota, trafnie ujął biegunowe krańce temperamentu Dolskiego.

Dekoracja do „Wielkiego człowieka do małych interesów” Pośrodku Fritsche i Barszczewska.



Smosarska i Barszczewska reprezentowały nową wersję Anieli i Klary ze „Ślubów Panińskich”. Smosarska w roli energicznej i przedsiębiorczej Matyldy, młodej emancypantki, która nie tylko, że otwarcie przeciwstawia się wszelkim projektom wuja, ale żąda równouprawnienia kobiet w wyborze tancerza i męża — była rozkosznym hajduczkiem, trochę jednak zanadto chłopczycowatym w ruchach, jak na drugą połowę wieku XIX. Barszczewska stworzyła sylwetkę bardziej stylową z postaci sentymentalnej Anieli.

Sawan był dostatecznie czarny i ponury na „szwarzcharakter” Leona, a Pawłowski wniósł dużo trzpiotowatego wdzięku w rolę ekswojaka bez ziemi.

Dekoracje Roszkowskiej i Ujejskiego bardziej przypominały bal szkoły Sztuk Pięknych, niż Fredrę. Ich groteskowość klęczała się z realną stylowością kostjumów, jakby żywcem skopiowanych ze współczesnych francuskich żurnali, I w tem właśnie tkwił najważniejszy błąd młodych dekoratorów. Dwór i miasteczko prowincjonalne gdzieś pod Przemyślem, czy Sanokiem, to nie paryskie bulwary, ani dzisiejszy Kazimierz z maskaradą snobizujących letniczek. I napewno ani Dolski, ani Leon, ani ich przyjaciele nie ubierali się na codzień, jak dandysi Gavarniego. Młodzi artyści poszli po linii najmniejszego oporu i ominęli Fredrę. Trzeba było pogrzebać się trochę w starych rocznikach pism, kalendarzach, dagerotypach i karykaturach z epoki. Tam są źródła do prawdziwych mód paryskich made in Lemberg, Przemyśl czy Tarnów u nadwornego Szmula, Jankla czy Dawidka. Niedawne to przecież czasy, kiedy frak, robiony w Nowogródku przez mistrza, którego szyld głosił: „Krawiec męski on że i madame”, — uchodził przez dziesięć karnawałów wileńskich za wiedeński autentyk.

S. P. O.

„Mistrz” Bahra w teatrze Kameralnym.

Teorja nietscheańskiego nadezłowieka poniewiera się już dziś w lamusie idei przezwyjęzonych i zlikwidowanych. Ta moneta obiegiowa nie stała się nigdy nu-

mizmatem. Zamało w niej szlachetnego metalu, aby sam jej dźwięk wywołał rezonans w sercach, a zbyt jest wytarta, żeby mogła ludzić pozorami świeżości. Ten „mistrz” cudotwórca, który nigdy nie skończył medycyny, a zostaje doktorem honoris causa, dzięki szczęśliwemu wyleczeniu jakiegoś niemieckiego ksiązątka, zanadto przypomina nam rozmaitych lekarzy tybetańskich, abyśmy mieli go brać na serjo. Fakt, że ten doskonały znawca ludzi umie ich wykorzystywać, jak nikt, że jego potężna indywidualność pochłania i zabija wszystkie inne, które znajdują się w zasięgu jego wpływów — też nam jakoś nie imponuje. Ten wynalazek przedwojenny ibsenowskich „Budowniczych Solnessów” dawno już został zdystansowany przez całkiem realne postacie narodowych dyktatorów, wydzwigniętych nie wyobraźnią poety, ale entuzjazmem mas.

„Mistrz” Bahra wygląda przy nich, jak pierwszy samochód przy dzisiejszych pozeraczach przestrzeni. Mały, nadęty, śmieszny. I cały jego konflikt, polegający na rzekomej nieczułości, która pęka nie wobec zdrady, ale wobec odejścia żony, demaskuje nietyle jego człowieczeństwo, co nieporadność autora. „Mistrz” wyjmując pistolet, strzela, przebija na wylot fotografię zdrajczyń, w innej scenie tłucze kosztowną wazę, — ale my pozostajemy nieczuli na „tragizm” sytuacji. Zachowujemy się sceptycznie wobec tak przekonujących efektów.

Jeżeli kto pójdzie na tę sztukę, to tylko dla Adwentowicza. Znakomity aktor wlał może za dużo prawdziwego ognia w tego prowincjonalnego Sfinksa i Molocha, tuczącego się cudzemi indywidualnościami. Nie zawadziłoby trochę zagadkowej, skradającej się demoniczności. Adwentowicz jest zanadto człowiekiem i to człowiekiem wielkich namiętności, typem patetycznym raczej, niż mózgowym. Zato Horecka miała tę pewną męską twardość, która niezupełnie usprawiedliwiała jej sentymentalne popędy. Maliszewski

był znakomicie niezmaconym hrabią, a Skalska z wdziękiem odtworzyła dość banalną rolę uwiedzionej sekretarki. Pozostałe postacie nieco przeszarżowane, zresztą zgodnie z intencją autora, miały właściwy wyraz.

S. P. O.

## Z ubiegłego tygodnia

Rozmowy londyńskie. — Dualizm Europy. — Konwencja lotnicza. — Co odpowiedzą Niemcy? — Chroniczne niedomagania Francji. — Zmiany nastrojowe w Rzeszy i Sowiełach.

Rozmowy londyńskie, zakończone porozumieniem obu państw na temat aktualnych zagadnień polityki międzynarodowej, a ściślej spraw wewnętrzno - europejskich, dały niejako szersze podstawy wspólnym zabiegom tych państw ku utrzymaniu pokoju Europy. Deklaracja francusko - angielska — oczywiście oficjalna — dotyczy następujących spraw: rząd angielski weźmie udział w zobowiązaniach francusko - włoskich, zapewniających niepodległość i integralność Austrii, gdyby państwu temu groziło niebezpieczeństwo; rząd angielski przyjmuje zasadę francuską, że najprzód bezpieczeństwo a potem rozbrojenie; bezpieczeństwo w Europie opiera się na paktach państw zachodnich i wschodnich, przyczem Zachód łączy układy poszczególnych państw o nieagresję, więc regionalne porozumienia między państwami (dotyczy to również konwencji lotniczej) — zaś państwa wschodnie określają swoją wzajemność paktem.

Ten podział Europy na dwa rejony jest słabym punktem londyńskich układów i od razu gotuje trudności, z którymi nie tak łatwo przyjdzie się uporać. Rozmowy londyńskie nie sprecyzowały jednak zagadnień wschodu Europy i t. zw. pakt wschodni został nadal kwestją otwartą, mimo przejrzystych aluzji, popierających koncepcję francuską. Ważniejsza i bardziej sensacyjna jest sprawa konwencji lotniczej, ujęta w następującą formułę: „Sygnatarjusze zobowiązali się do udzielenia natychmiastowej pomocy sił powietrznych któremukolwiek z tych państw, które stałoby się ofiarą niesprokowanej napaści ze strony innego państwa”.

Formuła ta jest wynikiem obaw angielskich przed atakiem powietrznym ze strony Niemiec. Pod znakiem tych obaw, zresztą, odbywały się rozmowy londyńskie, które mają stać się podstawą do rokowań z Niemcami. Propozycje przedłożono natychmiast po rozmowach londyńskich rządowi niemieckiemu i według ostatnich wiadomości, odpowiedź niemiecka jest już gotowa. Przyniosą ją pisma codzienne w najbliższych dniach. Narazie operować możemy tylko domysłami prasy francuskiej, według której Niemcy odpowiedzą w tonie przyjacielskim, przyjmując jednak zasadę, że są partnerem per-



Adwentowicz (na prawo) i Bohdan Wasieł w „Mistrzu” Bahra.

traktującym na stopie równości. Oczywiście według supozycji prasy francuskiej nie wszystkie punkty układu londyńskiego przyjmą Niemcy w jednakiej skali. Nie będzie więc w odpowiedzi wyraźnego określenia stanowiska Niemiec w sprawie paktu naddunajskiego, a kwestja paktu wschodniego napotka na negatywną postawę Niemiec.

Niewątpliwym rezultatem rozmów londyńskich jest więc zapoczątkowanie pertraktacji z Niemcami i dlatego mógł Laval anonować Francuzom, że w Londynie „pracowaliśmy dla pokoju”.

Wrażenia z podróży londyńskiej zamąciły jednak wypadki we Francji, gdzie Flandin stanął wobec Izby, gdzie wreszcie i ulica święciła burzliwie rocznicę lutowych wydarzeń. Niewielka większość Izby za obecnym rządem stwarza we Francji sytuację dość wątpliwą i wskazuje na ten brak wewnętrznej konsolidacji, który staje się już chroniczną chorobą Republiki.

Kiedy się to dzieje we Francji, nie mogącej podolać zastarzałym brakom ustrojowym, w Niemczech dokonywa się zasadnicza zmiana, konkretyzuje się unifikacja i centralizacja III-ej Rzeszy. Jesteśmy świadkami ciekawych zjawisk w dziedzinie przemian ustrojowych, bo, gdy Niemcy wracają niejako do form autokratycznych, w Rosji Sowieckiej zmiany ustrojowe poszły bowiem po linii liberalizmu i demokracji, a t. zw. sowiecka konstytucja zdaje się nieomal wracać do parlamentaryzmu. Nie trzeba oczywiście brać tego zbyt dosłownie, bo tajne głosowanie i przywrócone w tym względzie prawa „liszeucom” nie różnicują narazie stronictw w Rosji sowieckiej. Na opozycję nie ma jeszcze miejsca w Sowietach, o czym chyba dość dobitnie przekonał obywateli Rosji proces Zinowiewistów. H. N.

## Z życia ekranu

(Polskie nadprogramy — „Dubbing” — Ostatnie premjery).

Tak się jakoś zawsze składa, że w sprawozdaniach z filmów polskich brak miejsca na omówienie „nadprogramów”, o których przecież też należy czasem wspomnieć, choćby dlatego, że ich twórcy są, w wielu wypadkach, ową „awangardą”, stanowiącą jedyną nadzieję lepszej przyszłości filmu polskiego. W filmach krótkometrażowych poznaliśmy młodych, obiecujących reżyserów i operatorów (Radulski, Cękalski, Wohl, Themersonowie i w. in.), którzy traktują swój zawód poważnie, zetknęli się z zachodnio - europejskimi ośrodkami kinematografii i posiadają jakieś ambicje artystyczne i społeczne. Niestety, w obecnych warunkach, praca tych ludzi jest bardzo trudna i podlega najrozmaitszym ograniczeniom.

Naprz., ze względów podatkowych, kina najchętniej biorą, jako nadprogramy, filmy krajoznawcze, z czego wynika, że 90% naszych krótkometrażówek to lepsze lub gorsze zdjęcia Tatr, Krakowa, Huculszczyzny, Gdyni i t. p.; film kompozycyj-

ny u nas, w krótkim metrażu, prawie nie istnieje, tak że młody reżyser nawet nie ma na czym wypróbować swych sił. Na krajoznawstwie i folklorze reżyserzy się w końcu manierują, a publiczność — zniechęca do polskich krótkometrażówek, w których ogląda ciągle jedno i to samo, nie spostrzegając już nawet, kiedy to podane jest lepiej, a kiedy gorzej. W dodatku jeden film bywa wyświetlany jednocześnie w kilku kinach, tak że „opatrjuje się” aż do obrzydzenia. Dlatego to istniejący od roku Związek Krótkometrażowców przyjął jako zasadę wypuszczenie na rynek tylko 2 — 3 kopji swych filmów.

Jednakże znalazło się przedsiębiorstwo, które zakupiło 7 „dodatków morskich”, i wyświetla je w... dziesięciu kopjach, zapychając niemi wszystkie kina. Stąd bywalecy kinowi zmuszani są do oglądania, przez szereg tygodni, w kilku kinach, tego samego dodatku, przeciwko czemu słusznie się buntują. W ten sposób wytwarza się paradoksalna i bardzo przykra sytuacja: filmy, które mają propagować miłość morza, zachęcać do sportu żeglarskiego, czy popierania floty handlowej, wywołują na widowni gwizdanie i tupanie. Oto jak wygląda propaganda w rękach niepowołanych! Nietylko ginie artystyczna i ideologiczna wartość tych filmów, ale zostaje ostatecznie podkopane zaufanie widza do krajowego nadprogramu, uważanego na nudną pilę, którą trzeba przetrwać, zanim się do Betty Boop lub rozkosznych „Trzech świnek” Disney’a.

A przecież nasi młodzi twórcy przekonali nas, że nawet w dziedzinie „czystej” propagandy, a nawet reklamy, potrafią zrobić rzeczy artystyczne i zajmujące, że wspomnimy o „Radio” (Cękalski i Wohl) albo „Oszczędzajmy!” (prop. P. K. O.) Osieckiego, w/g scenarjusza Haliny Grabskiej. A taki naprz. „Drobiazg melodyjny” Themersonów (reklamówka sklepu Golińskiej) był istotnym cackiem kinematograficznej „sztuki stosowanej”.

A teraz przejdźmy do największej obecnie sensacji naszych ekranów — do „dubbingu”. Co to jest „dubbing”? Jest to trudna i niebezpieczna operacja pozbawiania aktorów zagranicznych ich własnego języka — angielskiego, francuskiego, niemieckiego — i obdarzania ich wzamian językiem polskim. Z operacji tej owi aktorzy dotychczas wychodzili jako stuprocentowe kaleki: z poruszających się ust nie wydobywał się żaden dźwięk, natomiast w chwili, gdy aktor najwyraźniej milczał, jego „podstawiony” język wyprawiał najrozmaitsze harce. Jeżeli szczęśliwie udawało się zsynchronizować słuchowo poru-

szczenia warg z wypowiedzianymi przez nie słowami, nie udawało się to optycznie, gdyż naprz. na słowo wypowiedziane w obcym języku z szeroko otwartymi ustami, wypadało akurat słowo polskie o zgłoskach wargowych. Skoro i tę trudność — natury czysto technicznej — zdołano przezwyciężyć, powstawała jeszcze trudność fizjo - psychologiczna — naprz. głos nie licował z daną postacią. To też „dubbing” był koszmarem, którego słusznie obawiał się każdy miłośnik kina.

Aż tu nagle pokazano nam angielski film („Siostra Marta jest szpiegiem”) z polskimi dIALOGAMI, w którym „dubbing” jest nietylko dobry technicznie, ale prawie — artystyczny, o ile w tak skomplikowanym, precyzyjnym mechanizmie, opartym na najściślejszym matematycznym obliczeniu, może być mowa o artyzmie. Otóż artyzm ten polega na tem, że głosy głównych bohaterów są świetnie dobrane do ich postaci i zestrojone z mimiką twarzy, tak, że ani przez chwilę nie doznaje się wrażenia, że to nie są głosy osób, na które się patrzy. Żłudzenie to ułatwia fakt, że aktorzy ci nie są u nas dobrze znani. Najdziwniejsze jest to właśnie, że ci aktorzy, zmuszeni do odtwarzania, przy pomocy głosu, wzruszeń, których nie przeżywają — !o przecież nie oni grają te role — zdobywają się na o wiele bogatszą skalę wyrazu głosowego, lepszą dykcję, właściwszą intonację i, co najważniejsze — naturalność i prostotę, o które u nas tak trudno, u aktorów filmowych, a nawet teatralnych, występujących w zwykłym filmie dźwiękowym. Na największe pochwały zasługuje właśnie p. Bonecki i świetna „dublorka” M. Carroll — p. Lidja Wysocka. Niektóre role epizodyczne (matka siostry Marty) wyszły słabiej.

Powodzenie tego pierwszego tak udanego „dubbingu” polskiego (wykonanego w atelier „Polskiej Akustyki”) będzie prawdopodobnie zachętą do dalszych poczynąń w tym kierunku. Jednakże należy się wystrzegać przesady w stosowaniu tego, acz kosztownego, ale napewno dobrze rentującego, sposobu zaznajamiania polskiego widza z produkcją zagraniczną, gdyż — jak wszystko na świecie — ma on swoje dobre i złe strony. Dobrą stroną stanowi fakt, że film dubbingowany zrozumiały jest dla najszerszych mas, nie znających obcych języków, co może im dać pełniejsze zadowolenie, oszczędzające odczytywanie napisów, w dodatku, zamazujących obraz. Ponadto, dubbing daje pracę całemu zastępowi aktorów „fonogenicznych” (jeżeli nawet nie „fotogenicznych”), nie mówiąc już o inżynierach, technikach i t. p.





Ale są aktorzy, których głos i sposób mówienia stanowią integralną część ich indywidualności i „pozbawianie ich głosu”, byłoby niepowetowaną stratą dla miłośników kina. Czemże będzie Marlena bez swego niskiego, zduszonego głosu? Albo Charles Langhton, jeden jedyny, potrafiący mówić „głośnym szeptem?”. Albo Chevalier, nie śpiewający swych piosenek po francusku lub po angielsku z francuskim akcentem, lecz — po polsku, rymami... Własta? Cóż stałoby się z przyjemnością słuchania niektórych filmów w tym języ-

ku, właśnie w jakim zostały wyprodukowane? Czy naprz. Rene Clair'a można „podawać” inaczej, jak po francusku? Czemże byłby taki film, jak „Hallo Paryż — hallo Berlin!”, pozbawiony dowcipu, wypływającego z jego dwujęzyczności? We Włoszech, gdzie wszystkie filmy *muszą być* dubbingowane, przynajmniej połowa najlepszych przechodzi bez wrażenia, jak to właśnie miało miejsce z francusko - niemieckim wyżej wymienionym filmem reż. Duviviero. Strzeżmy się więc naśladowania tego złego przykładu. Dajmy maspm to, co im się należy — film zrozumiały, ale zostawmy też coś dla no, powiedzmy... snobów, smakoszków, lubiących filmy „w oryginale”.

Ale wróćmy do „Siostry Marty” i rozpatrzmy ten film, niezależnie od jego wartości dubbingowych. Otóż jest to obraz wojenny i szpiegowski, ale odbiegający od szablonu obydwóch. Widzimy tu tylko kulisy wojny. Cała akcja rozgrywa się w okupowanym przez Niemców belgijskim miasteczku, którego ludność, jeżeli nie czynnie to przynajmniej biernie, uczestniczy w walce z wrogiem. Dlatego też poza głównym wątkiem, który w zwykłych filmach szpiegowskich ogranicza się do peryferyj pary bohaterów, mamy tu jeszcze obraz życia i psychicznego nastawienia całego miasteczka, co dodaje akcji wiele nowych i mocnych akcentów. Film zrobiony jest z dużą kulturą, a drażliwy temat, odświeżający tyle bolesnych wspomnień, potraktowany jest z godną podziwu

Z lewej — bohaterka filmu „Siostra Marta” jest szpiegiem —  
niżej scena z kapitalnego filmu „Piotruś”, z Franciszką Gaal w roli tytułowej.





dyskrecją i delikatnością. Niema tu wroga - wandalę, którego tak łatwo było przedstawić na terenie Belgii, jest tylko nieprzyjaciel - okupant, z natury rzeczy nienawistny, ale niepozbawiony cech ludzkich. Czyżby to już był wpływ zasad „rozbrojenia moralnego?”.

Z wykonawców na plan pierwszy wysuwa się odtwórczyni roli głównej, angielska aktorka wysokiej klasy Madeleine Caroll, oraz Conrad Veidt — świetny w postawie i geście oficer niemiecki Herbert Marshall, który pod batutą Lubitscha w „Złotych siłach“ kiedyś zwrócił na siebie uwagę, tutaj jest zupełnie bezbarwny. Sceny zbiorowe, oddane z wielkim realizmem (wszystkie sceny na rynku, przyjazd ambulansu z zagazowanymi, upaść tłumy na żołnierzy i t. d.), czynią silne wrażenie, nie ustępujące pod tym względem słynnym amerykańskim filmom wojennym.

Wogóle w ostatnich czasach Ameryka coraz częściej ustępuje miejsca Anglii, która, być może wkrótce, odbierze jej całkowicie tak długo piastowane berło królowej filmu. Z ostatnio wyświetlanych filmów amerykańskich, prócz „Uwielbianej“, wszystkie były słabe i niegodne zanotowania.

Natomiast miłą niespodzianką zrobiła



Scena z filmu „Uwielbiana“ z Normą Shearer w roli głównej.

nam austriacka komedijka p. t. „Piotruś“ (reż. Hösteritz). Niejednokrotnie opracowywany w filmie temat dziewczyny, udającej chłopca, został tu wyzyskany bardzo zręcznie, w zabawnym scenariuszu, pełnym dobrze ze sobą powiązanych humorystycznych epizodów. Zwłaszcza, początek filmu — punkt wyjścia dla „muskulinizacji“ Ewy, i okoliczności, zmuszające ją do trwania w tej roli (sceny w sądzie) są bardzo miłe, dowcipne i pomyslane filmowo. Franc. Gaal w roli chłopca.

łobuziaka jest w swoim żywiole, gdyż jest to aktorka o wyraźnych zdolnościach charakterystycznych - komicznych i tylko takie role powinna grywać.

Patrząc na Piotrusia, nie możemy nie zastanowić się nad tem, dlaczego u nas tak trudno o komedijkę tego typu — wesołą, bez trywialności, groteskową, bez brzydoty, pozbawioną śmiesznych ambicji „salonowo - arystokratycznej“ komedjowości, pachnącej amatorem teatrem, myszką i... dulszczyzną. Stef. H.

Z prawej — również scena z „Uwielbianej“, z lewej zaś Conrad Veidt w filmie „Siostra Marta jest szpiegiem“.



# Przegląd prasy

## MŁODZIEŻ W SOWIETACH

W artykule Janiny Miedzińskiej „Stawka na młodzież” drukowanym w Gazecie Polskiej z dnia 14 grudnia, autorka opisuje nam naukę i pracę młodzieży w Rosji Sowieckiej:

Młodzież organizuje się i rozwija od lat najmłodszych. Przypadkowo zaszłam do bardzo pięknej, choć skromnej instytucji w Moskwie: „Miejski dom młodych techników i badaczy przyrodników”, lub jak go popularnie nazywają „Dom młodych wynalazców”. Celem instytucji jest popieranie wynalazczości i inicjatywy twórczej wśród dzieci i młodzieży szkolnej. W najrozmaitszego rodzaju laboratorjach i warsztatach doświadczalnych: lotniczym, autotraktorowym, kolejowym, łączności, fotograficznym, przyrodniczym, chemii rolnej i t. p. pracują dzieci w godzinach pozaszkolnych co drugi dzień po 2 i pół godziny, robiąc wynalazki, budując modele aeroplanów, samochodów. W małej salce odbyło się właśnie zebranie delegatów szkolnych kółek przyrodniczych. Na wzniesieniu, za stołem przydzielalnym siedziało 2-ch starszych nauczycieli i 5-ciu malców, audytorjum składało się z kilkudziesięciu dzieci; słuchają z powagą i skupieniem kolejnych sprawozdań. Właśnie 12-letnia Nina Roztiukowa przy pomocy 11-letniego Wałodi Wołkowa przedstawia rezultat działalności kółka szkolnego, ilustrując referat pokazem ogromnych wykresów.

Powaga i dojrzałość tych młodych „naukowców”, ilość godzin ich dobrowolnej pracy, entuzjazm dyrektora i jego pomocników, szczęśliwych, że nie napróżno brali udział w walkach domowych, jeśli mogą teraz tak swobodnie pracować nad młodzieżą — zachwyca początkowo, potem budzi jednak poważne refleksje. Czy nie zawczasie wciąga się dzieci w Sowietach w krąg zainteresowań naukowych i politycznych, czy nie odziera się je z radości prawdziwego, beztróskiego, wesołego dzieciństwa? Co wyróżnie z tej młodzieży? Czy nie nastąpi wśród niej z czasem niespodziewana reakcja?

Zagadnieniem niezmiernie wagi dla przemyślenia sowieckiego jest odpowiednie przygotowanie młodzieży do pracy zawodowej.

Młodzież częściowo trafia do fabryk bezpośrednio w charakterze zwykłych robotników, znaczna większość jednak młodzieży przechodzi przez szkoły zawodowe. Organizacja szkolnictwa zawodowego w Sowietach t. zw. F. Z. U. — „Fabriczno-Zawodsoje Uczeńicestwo”, postawiona jest na zupełnie innych zasadach, niż szkolnictwo zawodowe na zachodzie. Przewszystkiem zarzucono zupełnie system nauki indywidualnej długoletniego „terminowania” ucznia u majstra, jako system niepraktyczny i sprzyjający raczej wyżskowi ucznia. Nauka odbywa się jedynie w szkole. Szkoła została związana całko-

wicie z fabryką, przygotowuje dla niej kadry pracowników. Niema szkół zawodowych poza fabrykami.

Staralam się zapoznać w Sowietach z możliwie dużą ilością szkół zawodowych. Jestem w szkole przy fabryce maszyn im. Maksa Gielca w Leningradzie. Uczą się tu dziewczęta narównu z chłopcami (dziewcząt jest 25 proc.). Młodzież śmiała, wyrobiona, łatwy z nią kontakt, żywa rozmowa nawiązuje się natychmiast. Teorii uczą się tylko 2 godziny dziennie, 5 godzin spędzają na praktyce.

Praca młodzieży traktowana jest od początku jako praca produkcyjna i opłacana według zgóry ustalonych stawek taryfowych. Młodzież w szkole im. Maksa Gielca otrzymuje w pierwszych trzech miesiącach po 55 rb., w następnych kolejno po 41 rb., 51 i 65 rb.

Poznaję lekarke, która opiekuje się uczniami w szkole. Opowiada mi z zapałem o swej pracy. Bada ona młodzież przed przyjęciem do szkoły i czuwa stale nad jej zdrowiem. Interesuje się higieną ich pracy w warsztacie szkolnym, opieką swą rozciągając i na ich życie w domu, sposób odżywiania (niezamożni uczniowie dostają obiad w fabryce po niższej cenie), stara się zorganizować ich wywczasy, wysyłać w czasie urlopu na obozy do sanatorjów. Jeśli każda szkoła ma tak troskliwą i serdeczną opiekunkę, nie spotka młodzieży tu żadna krzywda.

## ŻONA LOTNIKA

Prawie równocześnie z ukazaniem się na lwowskiej scenie sztuki Aleksandry i Mieczysława Lisiewiczów, p. t.: „Nocne Loty”, odcinek lwowskiej „Gazety Porannej” przyniósł artykuł p. A. Lisiewiczowej. Artykuł ten, o ile można tak nazwać najgłębszą spowiedź człowieka, odsłania kulisy lotnictwa od strony tym razem nie bohaterów powietrza — ale nieznanych bohaterów niepokoju, samotności i wyrzeczenia.

— ...idźmy prostą drogą przez pola, do masywu szarych, koszarowych domów — pisze autorka — które leżą w samym sercu pustkowi. — Przyjrzyjmy się życiu tych, które są towarzyszkami lotników, tworzą im dom, ów przysłowiowy „sweet home”, dając spokój i wypocinek... Obok jaskrawego bohaterstwa lotnictwa, istnieje jeszcze bohaterstwo ciche, nieznanie nikomu, monotonne w swojej codzienności. Mieści się ono właśnie w tych blokach koszarowych, a przypada w udziale kobiecie...

Autorka ilustruje jako przykład warunki życia na lotnisku lwowskim.

— Dzień rozpoczyna się tam wcześniej — pisze autorka. — O godzinie 6-ej mąż musi wstać, (w zimie o 7-ej). Między godziną pierwszą a drugą jest pauza obiadowa, a potem praca trwa od godziny piątej, przedłużona czasem w nieskończoność.

Kobieta musi dzień, który upływa na czekaniu, czemś zapelnąć. Mieszkanie ma wiele okien i prawie wszystkie wychodzą na lotnisko i szeroki horyzont nieba.

— W zimie białe zwały chmur kłębią się nad sinem polem lotniska, a wiatr zwiewa w szczelnie zamkniętem mieszkaniu papiery z biurka. W pogodne dni zimowe warkot maszyn urozmaica ciszę pól.

Lecz i wtedy nerwy nie odpoczywają.

— Jakże trudno jest przy oślepiającej bieli, na wysokości kilkuset metrów dojrzeć, czy przypadkowo przy starcie nie odpięły się narty i czy wskutek tego lądowanie nie będzie się równało kapotażowi...

Oczywiście, że po kilku godzinach takiego czekania przychodzi nerwowe wyczerpanie. Niemniej jednak, trzeba przywitać męża jak najspokojniej. Bo silne nerwy lotników, jak się wyraża autorka, to ich „być albo nie być”.

A już najtrudniejsze do nerwowego przetrzymania są właśnie owe „nocne loty”.

— Gdybyż chociaż można było zapomnieć o tych wszystkich niebezpieczeństwach nocy. Ale trudno jest wyrwać głos, który stale szepcze: „a jeśli zepsuje się silnik?”

W nocy niema przymusowego lądowania... trzeba skakać ze spadochronem... a jeśli spadochron się nie otworzy?... a jeśli mgła przesłoni nagle lotnisko?... I tak ciągle i ciągle... trzeba czekać...

## WYJAŚNIONA GENEZA NASZEGO HYMNU NARODOWEGO.

Dotychczasowa opinja powszechna przepisywała autorstwo pieśni „Jeszcze Polska nie zginęła” Michałowi ks. Ogińskiemu, twórcy popularnych polonezów. Tymczasem prof. Łucjan Kamieński, w wyczerpującem studjum, zamieszczonem w miesięczniku „Muzyka” na podstawie bardzo rozległego materiału archiwalnego obala to twierdzenie, wywodząc, iż twórcą Mazurka Dąbrowskiego nie jest ani J. Wybicki (autor tekstu naszego hymnu), ani M. Ogiński; pieśń legjonowa jest pochodzenia anonimowego, tworzył ją lud polski, genjusz narodu.

Argumenty Ł. Kamieńskiego są bardzo wymowne: oto autor w szeregu przykładów nutowych unaocznia wysoce zastanawiający fakt, iż hymn narodowy powstał ze starego polskiego mazura, mającego w praktyce wykonawczej liczne odmiany melodyczno-rytmiczne. Prof. Kamieński ustala, iż hymn ten nie mógł powstać w r. 1797, lecz znacznie wcześniej, na wiele lat przed epopeją legjonów Dąbrowskiego — gdzieś około r. 1750. Z owego dawnego mazura ludowego, jako prototypu Pieśni legjonowej, powstała dopiero w następstwie melodja marszowa, dalsza zaś metamorfoza marsza na mazura — czytamy — była jedynie powrotem do formy pierwotnej. „Można było dotąd głową kręcić nad fak-

tem—pisze prof. Kamieński, — że na oficjalnych balach w obecności Dąbrowskiego i Wybieckiego, z ich osobistym udziałem, tańczono wówczas mazura na przerobioną jakoby nutę hymnu legjonów. Wygląda to przecież na szczyt cynizmu, nie przymierzając tak, jakby kazano tańczyć wodzom naszych legjonów z 1914 i. mazura z „Pierwszej Brygady“! Lecz obecnie rozumiemy, że nie było w tem bynajmniej cynizmu żadnego: tańczono nie „mazura z marsza“ legjonów, lecz poprostu starego mazura“...

W ostatecznej konkluzji jaką autor wyprowadza z wielu z niezwykłą sumiennością zebranych dowodów, pisze Ł. Kamieński: „Melodja naszego hymnu narodowego pozostaje dziełem zbiorowym, ponad - indywidualnym licznym być może pokoleń polskiego narodu, i stąd też idzie jej niespożyta wartość, jako narodu tego wyraz, oblicze i symbol“.

#### PIELEGNIARKI CZERWONEGO KRZYŻA.

Jim Poker w artykule p. t. „Żołnierze Miłości Bliźniego“ drukowanym w „Polsce Zbrojnej“, opisuje cichą, ogółowi nieznaną a tak ofiarną pracę sióstr Czerwonego Krzyża.

— Siostra gotuje sobie obiad? — pytam, widząc jak ta krząta się koło kuchni.

— O nie, — brzmi odpowiedź. Przyniosą mi z kasyna, bo gotować nie miałabym czasu. To kompot dla chorego, który nie innego jeść nie chce. I je tylko wtedy, gdy ja mu przyrządzę...

A przecież trzeba jeszcze pomagać lekarzom, asystować przy operacjach i opatrunkach, mierzyć temperaturę, prowadzić dziennik raportów.

Mała Marysia — istna córka pułku — ma lat osiem i wygląda jak obrazek z bombonierki. Jest troszkę blada ale dumna. — Przeszłam już dwie trepanacje — mówi takim tonem, jakby chodziło o jakąś niezwykłą przyjemność czy zabawę. Z całego szpitala kocha najwięcej lekarza - podpułkownika, który ją operował. Instynkt dziecka nie zawodzi...

— A nie nudzi ci się? — pytam.

— O nie — odpowiada z powagą Marysia. — Pan pułkownik pozwolił mi pomagać siostrzyczce. A ona jak ma tylko chwilę wolnego czasu, bawi się ze mną...

Naprawdę wiele serca i wiele woli mieć trzeba, aby w tym pałacu bólu i cierpienia,

## Daty w życiu ludzkim

*Jakie daty są dla ludzi najszczęśliwsze? Bardzo wiele się już o tem pisało i mówiło, są nawet specjalne książki, omawiające szczegółowo każdą datę z oddzielną. My zaś twierdzimy i to zupełnie stanowczo, że tylko dzień kupna losu w szczęśliwej kolekturze J. WOLANOW, Warszawa, Marszałkowska 154 lub w jednym z oddziałów tej kolektury, powinien być zanotowany u każdego gracza jako Jego szczęśliwa data.*

wśród nawału odpowiedzialnej pracy, znaleźć jeszcze czas i ochotę do zabawy z dzieckiem.

\*

I w większości wypadków cierpienie, jakby topniejąc w wielkim oniu miłości bliźniego, cierpliwości, energii i fachowej wiedzy, — ustępuje. Walka z chorobą wygrana. Chory opuszcza szpital. Czy pamięta chociaż o tej, która przez szereg tygodni, a nieraz miesięcy nosła mu pomoc, pokrzepienie i opiekę?... Nie zawsze. Wdzięczność ludzka na pstrym jeździ koniu.

Ale żołnierze miłości bliźniego — białe siostry z pod znaku Czerwonego Krzyża — niezmordowanie czynią swą powinność...

#### Z ŻYCIA NEWTONA.

W „Kurjerze Porannym“ w dziele zatytułowanym „Boczna antena“, Bruno Winawer, opierając się na biografii Newtona, S. T. Moze'a kreśli sylwetkę wielkiego przyrodnika:

Newton był — jak widać — postacią barwną, może nawet dramatyczną, czy malarską, „mienił się kontrastami“. Urodził się przedwcześnie, główkę mu trzeba było podierać stale specjalnym jaśkiem, by ją mógł na cienkiej szyi utrzymać, a potem żył — chuchrą i niedonosek — lat osiemdziesiąt pięć i nigdy nie chorował. We wszystkich dziedzinach nauki — w matematyce, w astronomji, w fizyce — tworzył rzeczy już nie wiekopomne, ale jakieś wprost biblijne, Mojżeszowe. I nie dbał o to zupełnie, pomysły gubił w szufladach, o genialnych teorjach zapominał, matematykę traktował — słusznie może — jak nudną piłę drewnianą. A przytem wcale nie był skromny — to nieprawda. Wrzask oponentów wywoływał w nim gniew, oburzenie, zaciekiłość. Pisał listy kaśliwe.

Dla nas, pismaków i gryziopiórków, najciekawsze bodaj są te rozdziały, w których poznajemy Newtona - polemistę. Mistrz był nietylko teoretykiem, nietylko świat prawami ciężenia wiązał i nowe drogi ra-

chunkami wskazywał, — miał od lat najmłodszych pociąg do manipulowania narzędziami, szlifował cudne szkła optyczne, cegły układał w „elaboratorium“. Nabył raz wisiołek od żyrandola, pryzmat szklany, wydłubał dziurę w okiennicy i — stworzył spektroskop. Wykazał w szeregu doświadczeń mądrych, że światło białe składa się z promieni różnych barw, że te promienie kolorowe, niebieskie, żółte, czerwone, różnią się, inne mają cechy, inaczej biegną w pryzmacie, gdzieindziej dają obraz na białym ekranie. Proste to dziś dla nas i jakby oczywiste, ale ongiś wywołało sensację nielada w Royal Society sławetnej. Ludzie mieli wtedy jakieś własne, śmieszne pojęcia o kolorach, uważali, że błękit jest „mieszaniną światła z ciemnością“, lubili spory zasadnicze. Więc jak sobie młodzieniec z Cambridge wyobraża światło? — pytali natrętnie — co to jest takiego?

Nie wiedział. Wskazywał im tylko na pryzmat, na dziurę w okiennicy, na podłużne widmo na ścianie, na doświadczenia, na fakty, fakty, fakty. Niech sprawdzą, niech zobaczą. A oni znów swoje. „Teoretycznie!“.

„Hypotheses non fingo, przypuszczeń za wiedzę nie podaję“ — wołał głośno, zarumieniony gniewem, dotknięty do żywego. A oni dalej swoje, wciąż swoje, wciąż teoretycznie. Przeciwnicy Galileusza nie chcieli nawet spojrzeć przez jego lunetę. Bo i poco? Nic się nie obraca.

## Czytelniczki

nasze

prosimy, aby żądały pism kobiecych we wszystkich kawiarniach, cukierniach, restauracjach i t. d.

**TANIE FORMY BIBUŁKOWE.** Administracja „BLUSZCZU“ wysyła na zamówienie, po otrzymaniu należności na koszty przesyłki kwoty 30-gr. formy bibułkowe wszystkich modeli. umieszczonych w dwutygodniku. Ceny wykroi są następujące: bluzka, kamizelka, bielizna. spódnica, garderoba dziecięca — po 1 zł.; suknia, pyjama, szlafrok, kostjum, płaszcz — po 1 zł. 50 gr.

Celem zaoszczędzenia kosztów przesyłki pieniędzy i zamówienia, radzimy pieniądze przestać przekazać pocztowym rozrachunkowym (w kolorze niebieskim, do nabycia w każdym Urzędzie Pocztowym w cenie 1 gr.). Na odwrocie przekazu umieścić zamówienie z podaniem numeru modelu, oraz jednej z następujących wielkości, dostosowanej do własnej figury:

I.	GORS (półowa)	44 cm.	—	BIODRA	50 cm.	—	DLUGOŚĆ	118 cm.
II.	„	48	„	52	„	„	120	„
III.	„	50	„	60	„	„	122	„

Przekazy rozrachunkowe adresować: Administracja „BLUSZCZU“ Warszawa, Świątokrzyska 17 i Solec 87

# Świat kobiecy w ilustracji



## WENECJA POD ŚNIEGIEM.

Plac św. Marka zainwany wodą, z której wynurzają się kupki topniejącego śniegu, to zaiste widok mocno egzotyczny.

Fala śniegów nie ominęła w tym roku i słonecznej Italji.

## SONJA HENIE ŚWIATOWĄ MISTRZYNIA JAZDY FIGUROWEJ NA LODZIE.

Na światowych zawodach jazdy figurowej w St.-Moritz pierwsze miejsce otrzymała Sonja Henie.

Na zdjęciu widzimy Sonję Henie ćwiczącą się na ślizgawce w St.-Moritz.

## ANGIELSKA SZERMIERCZYNI.

Miss Paulina Etheridge zdobyła puchar wędrowny na turnieju szermierki kobiecej w Akademji Fechtunku w Londynie.



#### MISTRZYNI GRY W SZACHY.

Panna Sonja Graf, niemiecka championka, prowadzi jednocześnie 16 partij szachów z szesnastoma wytrawnymi graczami. Ten interesujący turniej rozgrywa się w Klubie Szachistów w Londynie.

#### PIERWSZE JASKÓŁKI SEZONU TENNISOWEGO.

Jeszcze mróz i śnieg na dworze, a już w angielskich wytwórniach piłek tenisowych wre praca.



#### PRZECIW PORYWANIU DZIECI.

Wobec coraz częstszych wypadków porywania dzieci przez bandytów, celem wymuszenia okupu, w szkołach Stanów Zjednoczonych wprowadzono kartoteki z odciskami palców dzieci. Na fotografii widzimy grupę uczennic jednej z wyższych klas, z humorem prezentującą swoje dłonie, gotowe do zdjęć daktyloskopijnych.



## WALNE ZGROMADZENIE STOW. KOBIET Z WYŻSZYM WYKSZTAŁCENIEM

W dniu 6. 12. odbyło się Walne Zgromadzenie Stow. K. W. W. Po odczytaniu sprawozdania z działalności oddziału za rok ubiegły, (między innymi utworzono „Koło Samokształcenia do spraw kobiecych”, oraz zorganizowano kursy językowe), oraz sprawozdania kasowego i Komisji Rewizyjnej, zabrała głos p. Adamowiczowa, informując o Kongresie Międzynarodowym Federacji, który odbędzie się w Krakowie w lecie r. 1956. Jednym z najważniejszych żądań Stowarzyszenia w związku z tym kongresem jest powiększenie ilości członkiń, których liczba 800 w całej Polsce jest niewspółmiernie mała w stosunku do ilości kobiet kończących studia wyższe.

Zadaniem Stowarzyszenia jest też wybór kandydatek na prowadzenie sekcji naukowych podczas Zjazdu. Wybór dokonany będzie podczas najbliższego Zjazdu Delegowanych, który odbędzie się w maju 1955 r. w Kaliszu. Zadaniem kierowniczek grup naukowych będzie zobrazowanie obecnego stanu nauki w Polsce.

W związku ze sprawą małej ilości członkiń Stowarzyszenia rozwinęła się dyskusja.

Następnie zabrała głos p. Więckowska, informując zebrane o 10-leciu naszej organizacji, które przypada w tym samym roku co i kongres. Porównując stan obecny Stowarzyszenia, naszą działalność i nasze znaczenie na terenie międzynarodowym widzi się, jaki ogrom pracy został dokonany w ciągu lat 10-ciu.

W związku z 10-leciem postanowiono wydać specjalną broszurę o Stowarzyszeniu, składającą się z 2 części: I cz. sprawozdawcza, II cz. bardziej konkretna, zawierająca też podstawy naszej pracy na przyszłość, oraz opracowanie pracy kobiecej w różnych zawodach.

## DŹWIĘKOWE WIZYTÓWKI NASZYCH ROZGŁOŚNI.

Charakterystyczne sygnały wywoławcze i sygnały używane przerwy między audycjami, mało wywołują zainteresowania u naszych słuchaczy. Pod tym względem większe zaciekawienie przejawia zagranica: Prasa nie tylko radiowa, ale i codzienna zwraca się często do Polskiego Radja o bliższe wyjaśnienia pięknie dobranych sygnałów wywoławczych rozgłośni polskich. Warto więc skorzystać z dobrego przykładu, aby i sobie przypomnieć, jak też prezentują się od tej strony nasze rozgłośnie.

I tak: Warszawa zaczyna w audycji porannej o 6,45 dźwiękiem litery „W”, według klucza telegraficznego Morse'a. Są to dwa dźwięki dłuższe i jeden krótki, powtarzane w ciągu 5 — 4 minut. Następnie słyszymy z płyty pieśń: „Kiedy ranné wstają zorze”. Po pieśni odzywa się speaker warszawski, wita wszystkich słuchaczy i składa życzenia solenizantom danego dnia. Dalej idzie program normalny. To samo słyszymy w niedzielę i święta, ale dopiero o godz. 9-ej rano. Sygnałem w przerwach dla Warszawy jest refren z Poloneza A-dur Chopina.

Toruń daje w przerwach refren z pieśni flisaków, którą słyszymy w „Strasnym Dworze” Moniuszki; Lwów wyróżnia się fanfarami na gitarze. Dźwięki tej fantary przypominają muzykę hejnału; Kraków daje początek starego kuranta, granego na instrumencie zwanym „boite à musique” (pozytywka); Łódź melduje się akordem na cytrze; Wilno daje dźwięczną kukulkę, kiedyś słyszeliśmy stamtąd dźwięki rogu myśliwskiego. Nie stosują sygnałów muzycznych tylko: Poznań, który posługuje się metronomem i Katowice — wierne swemu młotu i kowadłu, jako symbolem kraju przemysłu i górnictwa.

Wspólny jest dla wszystkich rozgłośni polskich, jak widzimy, początek audycji

porannych, idących z Warszawy i jednokowe zakończenie programu w nocy, życzeniem „dobrej nocy” kilku refrenami z hymnu narodowego: „Jeszcze Polska nie zginęła”.

## FINAL KONKURSU RADJOWEGO NA SŁUCHOWISKO.

Dnia 29. I r. b. w gmachu Polskiego Radja w Warszawie pod przewodnictwem Prezesa Polskiej Akademii Literatury, Wacława Sieroszewskiego i w obecności dyrektora programowego Polskiego Radja p. Franciszka Pułaskiego, odbyło się uroczyste posiedzenie członków jury konkursu na słuchowisko radiowe, ogłoszone kilka miesięcy temu przez Polskie Radio.

Pierwszą nagrodę w kwocie zł. 800 przyznano p. Janinie Morawskiej (Warszawa) za piękne słuchowisko p. t. „Zioła i kamienie”. Dwie równorzędne drugie nagrody (po zł. 500) otrzymają: p. Józef Mayen (Lwów), autor słuchowiska p. t. „Savana-rola” i p. Janusz Stepowski (Warszawa) za słuchowisko „Zaczarowany kurant”. Dwie równorzędne trzecie nagrody po zł. 350 jury przyznało p. Marji Wiercińskiej (Warszawa) za słuchowisko p. t. „Niebezpieczne życie” i p. Leonowi Derlichowi (Frysztat) za słuchowisko p. t. „Goście w kopalni”.

## Książka o Agencjach Informacyjnych

Polska literatura, poświęcona sprawom prasy oraz obsługi informacyjnej prasy i życia politycznego została ostatnio wzbogacona przez nowe ciekawe wydawnictwo.

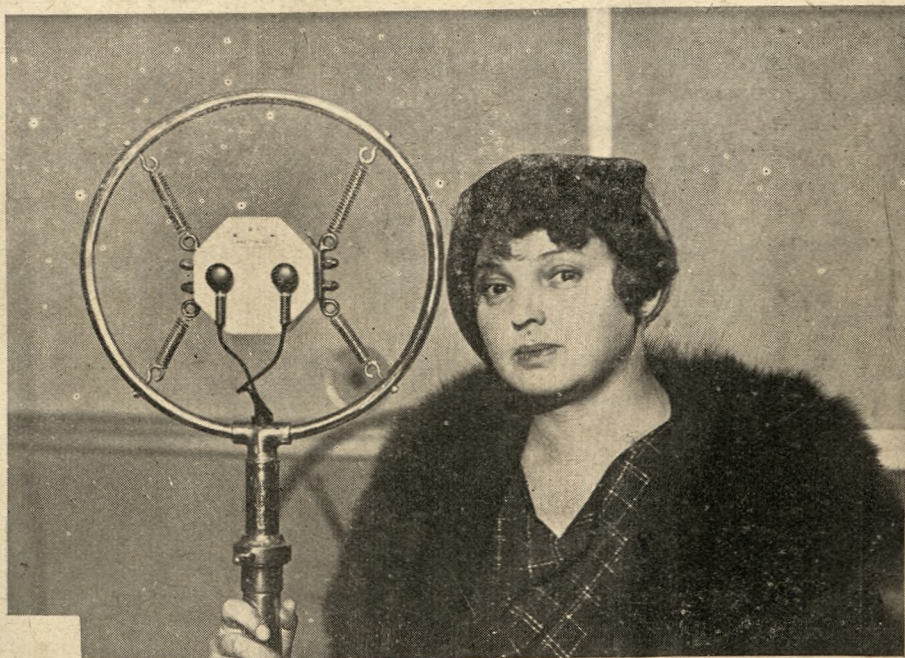
Jest nim praca p. Romana Starzyńskiego b. dyrektora Polskiej Agencji Telegraficznej p. t. „Agencje Informacyjne”. Dzieje, stan obecny i znaczenie prasowych agencji telegraficznych 1855 — 1955.

Autor książki p. Roman Starzyński zajmował w ciągu czterech lat odpowiedzialne stanowisko dyrektora naczelnego Polskiej Agencji Telegraficznej. W tym charakterze brał udział w szeregu międzynarodowych zjazdów, poświęconych zagadnieniom służby informacyjnej oraz sprawom agencji informacyjnych. Pan Starzyński zapoznał się w tymże czasie dokładnie podczas podróży zagranicę z organizacją i działalnością kilkunastu europejskich agencji informacyjnych. Książka wydana obecnie jest rezultatem obserwacji i doświadczeń zgromadzonych w ciągu tych czterech lat przez dyrektora R. Starzyńskiego.

Zywo i zajmująco skreślona praca b. dyrektora P. A. T.-ej obrazuje kolejno: dzieje agencji informacyjnych organizacje i działalność międzynarodowego związku agencji informacyjnych obecny stan agencji, ich organizację wewnętrzną oraz technikę pracy. Ostatni rozdział książki p. R. Starzyńskiego poświęcony jest ciekawemu omówieniu roli i znaczenia agencji informacyjnych w życiu politycznym.

Praca dyrektora Starzyńskiego zainteresuje żywo bezwątpienia nie tylko polski świat prasowy lecz i tych wszystkich, którzy interesują się zagadnieniami życia publicznego.

Książka p. Starzyńskiego, posuwająca naprzód rozwój polskiej literatury, związanej z zagadnieniami prasowymi ukazała się nakładem Polskiego Związku Wydawców Dzienników i Czasopism.



P. Janina Morawska, autorka słuchowiska „Zioła i kamienie”, które otrzymało pierwszą nagrodę. Słuchowisko to wystawione było w „Teatrze Wyobraźni” w dniu 10 lutego o godzinie 18-ej.

# Ogrodnictwo i hodowla

## SKRAPIANIE ROŚLIN

Racjonalne podlewanie idzie w ścisłej parze ze skrapianiem i zraszaniem roślin pokojowych. Niestety ogół hodowców jeszcze nie docenia dostatecznie znaczenia dobrego zraszania — co jest wielkim błędem. Podczas upałów letnich, a jeszcze bardziej zimą pod wpływem sztucznego ogrzewania powietrze w mieszkaniach nie posiada odpowiedniego dla roślin stopnia wilgoci.

Zawsze pamiętać należy, iż pokój jest dostosowany przede wszystkim do potrzeb człowieka, a nie kwiatów. Stan ten nigdy nie może w normalnych warunkach ulec zmianie, bo jednak gospodarzem zawsze będzie człowiek. Powietrze oranżerii jest zaś dostosowane przede wszystkim do kwiatów, dla których oranżeria jest przeznaczona. To, co w oranżerjach głównie pobudza wzrost roślin, a czego z reguły brak w pokoju, to jest dostateczna wilgotność powietrza. Dostatek wilgoci w otaczającej kwiat atmosferze jest bardzo potężnym czynnikiem dobrego wzrostu. Przeciętne powietrze ciepłarni posiada 75—90% wilgoci — w pokojach zaś procent ten waha się przeciętnie od 20 — 70%, a tylko w wyjątkowych warunkach wynosi 50 — 60%. Aby ten niekorzystny dla roślin stan możliwie stuszczać, trzeba stosować odnośne zabiegi.

Aby zapobiec zgubnemu wpływowi takiego suchego powietrza na rośliny, należy je od czasu do czasu zraszać przy pomocy odpowiedniego rozpylacza. Uważać jednak przytem należy, aby powierzchnia liści zwilżonych nie była kurzem okryta; w przeciwnym bowiem razie wytwarza się na nich rodzaj nieprzepuszczalnej powłoki, wstrzymującej swobodną cyrkulację powietrza. Zraszanie należy więc uskutecznić bądź przed zamiataniem pokoi, bądź w niejaki dopiero czas po zamiataniu; samo zaś zamiatanie uskutecznić tak, aby nie podnosić tumanów kurzu. Zraszania należy bezwzględnie zaniechać, o ile temperatura spadnie poniżej plus 14° C.

Oprócz skrapiania pomaga tu również wpuszczanie wilgotnego, przesyconego wieczorną rosą powietrza. Wogóle wietrzenie ma dla zdrowia i rozwoju roślin pokojowych bardzo poważne znaczenie. Pamiętać trzeba o zasadzie, że „bez świeżego powietrza żadna żywa istota istnieć zdrowo nie może”.

Latem i wiosną w czasie najsil-

niejszej operacji słońca trzeba kwiaty cieniować. Słońce i centralne ogrzewanie działają osuszająco na powietrze nawet wtedy, gdy nie są zbyt gorące. Szczególnie cierpią na tem rośliny w czasie pierwszych dni palenia — zwłaszcza, że jesienią mają przeważnie dostatek wilgoci w powietrzu i stan ten zmienia się gwałtownie już z pierwszym napaleniem w piecu.

Pamiętać należy, iż skrapianie ma tylko wtedy cel, jeśli chodzi o nasycenie otaczającego kwiaty powietrza pewną ilością pary. Natomiast nic nie pomaga, gdy z powodu suchości ziemi liście i kwiaty zaczynają obwisać. W tym wypadku jedynie radykalnym środkiem jest doprowadzenie wody do korzeni, przez wstawienie doniczki z wysuszoną ziemią do waniemki z wodą. Jeżeli przed gruntownym zwilżeniem korzeni roślinę skropimy, to miast pożytku przyniesiemy jej szkodę, bo pobudzimy liście do jeszcze silniejszego parowania, a tem samem dalszego ubytku wody z korzeni.

Szczególnie ważne jest skrapianie roślin świeżo posadzonych. Pamiętać trzeba, że gdy nawet najostrożniej wykonywa się tę czynność, zawsze trochę korzonki się uszkadza. Zanim znów ułożą się wygodnie i przyjdą do siebie po tak brutalnem poruszeniu i ssawki bowiem znów normalnie zacząć funkcjonować, upływa zawsze dłuższy, lub krótszy przeciąg czasu. W okresie tym należy im pracę zmniejszyć przez możliwie silne nasycanie powietrza wilgocią.

Pozatem skrapianie musi być dostosowane do indywidualnych cech rośliny, oraz do odpowiednich pór roku. Stosujemy tu zupełnie te same zasady, co przy podlewaniu.

Zasadą naczelną jest tu:

„Skrapiać trzeba wtedy, gdy powietrze, otaczające rośliny, jest zbyt suche”.

Hydrometr dla miłośnika roślin jest narzędziem tak samo ważnym, jak i termometr. Dalej pamiętać należy, że rośliny w czasie pełnego wzrostu potrzebują znacznie więcej wilgoci w powietrzu, niż w okresie spoczynku. W okresie pierwszym nie istnieje dla nich nadmiar wilgoci, w drugim zaś należy ze skrapianiem i zraszaniem postępować ostrożnie. Zawsze jednak należy mieć na uwadze, iż ogrzewanie, a nawet oświetlenie pokoju stwarza atmosferę anormalnie suchą. Gdy więc w pokoju świecą się silnie lampy, utrzymuje się wysoka temperatura, jest

---

Niezmiernie ważnym zagadnieniem jest dzisiaj dla każdej oszczędnej gospodyni przyrządzenie tanich a jednak pożywnych potraw. Obiady uzupełnić można doskonale smaczną a posilną zupą. Płynny pokarm przyswaja sobie organizm łatwiej niż stały, który pozatem jest także znacznie droższym. Doskonale a tanie zupy otrzyma się szybko i bezwielkiego trudu, przy minimalnem zapotrzebowaniu ognia, za pomocą KNORR'A kostek zupnych lub KNORR'A grochówki. Po rozpuszczeniu kostki w wodzie ugotuje się w kilkunastu minutach bez wszelkich dalszych dodatków treściwą zupę. KNORR'A kostki zupne i KNORR'A grochówka umożliwiają duże urozmaicenie, ze względu na kilkanaście odmian.

---

centralne ogrzewanie itp. powietrze jest zbyt suche, aby tam rośliny mogły dobrze zimować — wtedy koniecznie trzeba się uciekać do sztucznego odświeżania atmosfery.

Pamiętać należy, iż ogół roślin nie znosi ani gwałtownych wahań temperatury, ani wilgoci. Szczególnie ważnym jest skrapianie roślin wówczas, gdy podczas pochmurnych dni rośliny przyzwyczaiły się do wilgotnego powietrza, a tu nagle słońce zaczyna silnie operować, lub też zaczynamy na dobre mieszkanie opalać. Skrapianie tuszuje gwałtowne różnice i pomaga roślinie dostosować się do nowych warunków.

Trzeba jednak baczyć, aby nie skrapiać dopiero wtedy, gdy padające promienie słoneczne, czy też kaloryfery tak atmosferę wysuszyły, że roślina w niej już wyraźnie więdnąć zaczyna. Miłośnik wienien zawsze pamiętać, że skrapianie roślin i zraszanie powietrza to środek przede wszystkim profilaktyczny, który nie powinien być stosowany dopiero wtedy, gdy roślina marnieje, a znacznie wcześniej, aby do tej ewentualności właśnie nie dopuścić.

Nigdy nie wolno również skrapiać roślin w czasie silnej operacji słonecznej — gdyż wtedy wilgocę zbyt szybko wyparowuje nie spełniwszy swego zadania. Często od tego powstają różne plamy. Kropla wody działa, jak soczewka — przyciąga i skupia promienie słoneczne, które na dane miejsce działają specjalnie silnie — czego efektem jest spalenizna na danej przestrzeni. Plamy te nigdy już nie znikają i bardzo roślinę szpecą.

Nigdy nie powinno się skrapiać roślin nad samym wieczorem. Idzie tu o to, aby roślina nie stała mokra przez całą noc. Tego rodzaju postę-

powanie bywa często przyczyną gnicia łodyg, liści i opadania pączków. Szczególnie szkodliwe jest to dla wszystkich kaktusów, tłustoszki itp. roślin o mięsistych gałązkach i liściach.

Same kwiaty przeważnie nie lubią styczności z wodą. Przy skrapianiu więc roślin kwitnących bacznie, aby rozpylona woda dostała się tylko na liście.

Zasada, że nigdy nie należy podlewać roślin doniczkowych zimną wodą, braną wprost z kranu, bo powinna ona mieć stosunkowo wysoką temperaturę i być doskonale przepojoną powietrzem, dotyczy i wody, używanej do rozpylania. Jest przecie zupełnie zrozumiałe, że gdy skropimy liście rośliny zbyt zimną wodą, musi to wywołać pewną reakcję. Dlatego też, jako najlepsze rozpylacze, uważać należy te, które są połączone od razu ze zbiornikiem na wodę.

## TUCZENIE DROBIU

Tuczarnie drobiu mogą być przedsięwzięciem bardzo intratnym, o ile jednak będą prowadzone fachową ręką.

*Tucz kurcząt* w naszych warunkach prawdopodobnieby się nie opłacał, ponieważ w pewnych okresach jest i tak nadmierna podaż tych ptaków, gdy gospodynie wiejskie wyprzedają kogutki i zbędne kurki. Kurczęta te są zbywane po cenach, które wogóle żadnej kalkulacji nie wytrzymują. Skutkiem tego konkurencja jest tu niemożliwa. Natomiast tucz gęsi, kaczek i indyków może się opłacać doskonale.

*Gęsi i indyki* stanowią ważny artykuł eksportowy, skutkiem tego jest możliwość ich masowego zbywania. Dalej w kraju ptaki te stanowią tradycyjne potrawy i np. gęsi podaje się 11-go listopada, a indyki na Wielkanoc. W okresach tych ze zbytem niema żadnego kłopotu.

Na *kaczki* znów jest stale dość duże zapotrzebowanie restauracji. Kaczki pozatem tuczają się znakomicie, nie specjalnego od hodowcy nie wymagając. Tutaj nie stosuje się przeważnie prawdziwego tuczenia, tylko trzeba je tak żywić, aby ptaki te po ukończeniu drugiego miesiąca życia osiągnęły wartość rzeźną i miały przeciętnie po dwa kilo. Są to t. zw. zielone kaczki. Nie mają one wprawdzie barwy zielonej, ale też nie powinny być białe, tylko pokryte żółtym puchem, bez śladu piór. Skoro tylko szypułki piór zaczynają się przebijać przez skórę, kaczki chudną i tracą wartość na czas 8 — 10 tygodni, t. j. dopóki nie uzyskują

zimowego pierza — trzeba więc bacznie uchwycić moment sprzedaży, gdy ptaki są już w pełnym mięsie, ale jeszcze bez szypuła.

Odchów kaczek mięsnych jest rzeczą bardzo łatwą i woda nie jest tu niezbędną.

W naszych warunkach wątpię, aby się opłacał zakup *kacząt*. Sądzę, że raczej należałoby zainstalować aparaty wylęgowe. Kaczka jest łatwa w hodowli, ale najlepsze ceny osiąga się za nie wczesną wiosną, gdy jeszcze innego drobiu niema nadmiaru. Dalej bardzo ważną w tym wypadku jest rzeczą, aby kaczęta od pierwszego dnia były racjonalnie żywione. Zupełnie inaczej przedstawia się ta sprawa z gęśmi, tutaj może się opłacać zakup chudźca t. zw. gęsi ścierniskowe pota, aby je forsownie tuczyć. To samo dotyczy indyków.

Zresztą możnaby sobie fermę tuczenia drobiu rozłożyć w ten sposób, aby najpierw odchować ze dwie partje kaczek, potem tuczyć gęsi, te najlepiej przy pomocy kluskowania, a potem indyki. Głównym warunkiem powodzenia będzie tutaj, oprócz fachowego kierownictwa odpowiednie pomieszczenie, dostatek podściółki i istic holenderska czystość.

Pamiętać trzeba, że takie tuczenie jest rzeczą przeciwną naturze i dlatego tuczone ptaki bardzo łatwo podlegają różnym chorobom i epidemjom. Dlatego też na te sprawy bardzo uważać trzeba i brać tylko ptaki bezwzględnie zdrowe. Nie można również przesadzać w ilości zadawanej karmy. Nie wolno zadawać jej nigdy, jeśli pokarm z poprzedniego karmienia jest niestrawiony. Okazy, u których wskutek zatłuszczenia serca pojawiają się już objawy duszności, trzeba zabić zawczasu, gdyż ptaki takie padają nieraz nagle między jednym a drugim zadaniem paszy.

Jeżeli chodzi o gęsi, to jednym z często popełnianych błędów jest tuczenie ich zapomocą kluskowania bezpośrednio po zabraniu ich z pola. Jest to sposób wyraźnie nieekonomiczny, gdyż gęsi przez pierwszy okres czasu tak samo przybierają przy dobrowolnym spożywaniu karmy, jak i przy przymusowym zadawaniu tejże.

Nie należy również tuczenia rozkładać na zbyt długie okresy, gdyż później ptaki dużo gorzej karmę wyzyskują. Przeciętny okres tuczenia gęsi winien trwać około 3 tygodni.

Na indyki jest duży zbyt przed Bożem Narodzeniem, w karnawale i przed Wielkanocą. Hodowca winien tak kierować, aby na te okresy miał gotowy towar. Najle-

piej odpasają się indyki dobrze odchowane w młodości. Im lepsza kondycja ptaka tem lepszy da on przyrost wagi. Wymizerowane chudzielce nigdy nie dadzą dobrego rezultatu, gdyż cały organizm będzie się starał przedewszystkiem dojść do kondycji, i do wypełnienia braków, a dopiero później następuje odpasanie. Indyk przy tuczeniu musi stale korzystać z umiarkowanego ruchu i mieć świeże powietrze. Tuczenie indyków przeprowadzamy w ciągu miesiąca i cały ten czas dzielimy na dwa okresy: 2 tygodnie rozpychania i dwa tygodnie tuczenia.

W czasie rozpychania pozostawiamy je na swobodzie, zamykając jedynie z dość obszernej zagrodzie i żywimy trzy razy na dzień paszą bogatą w węglowodany, celem rozszerzenia przewodu pokarmowego i zwiększenia jego pojemności. Przez następny dwutygodniowy okres tuczenia zamykamy indyki w mniejszej przestrzeni. Muszą mieć jednak trochę miejsca do ruchu i stały dopływ świeżego powietrza.

Perliczki zaś tuczyć można tylko na wolności podobnie, jak indyki, gdyż zamknięcia nie znoszą. Wszelkie pasze wyzyskują znakomicie.

Tuczenie gołębi jest łatwe i niekosztowne, ale znów zbyt na te ptaki jest trudny, gdyż ich spożycie jest u nas minimalne.

Na zakończenie trzeba zwrócić uwagę, że wysokowartościowy jest pomiot ptasi: powinien być skrzętnie zbierany i przechowywany najlepiej na kupach kompostowych.

Idealnym podściółem jest torf. Chłonie on nietylko nadmiar wilgoci z tych wodnistych nawozów, ale posiada zdolność pochłaniania cennych gazów, które się inaczej ulatniają w powietrze i zanieczyszczają je. Śląc trzeba bogato i często pomiot wybierać.

Marja Dąbrowa.

---

## SENSACJA DLA PAŃ DOMU!

Na niedawnej wystawie gospodarstwa domowego w Berlinie zachwycone panie domu oglądały stół zastawiony szkłem. Zamiast dawnej porcelany—szkło, szklane talerze, półmiski, salaterki i t.p.

Na urządzonym pokazie potrawy prosto z ognia, bez przekładania, podawano na stół także w szklanych czystych rondlach, patelniach, miskach.

Jest to wszystko szkło ogniotrwałe, nie pęka ono na ogniu i płomieniu, gotuje się w nich, piecze, smaży i dusi prędzej, lepiej i zupełnie widocznie, można więc zawsze uniknąć przypalenia czy przypieczenia. Naczyni tych nie szoruje się jak metalowych ale w sposób prosty i łatwy obmywa, jak talerze.

Jak się dowiadujemy, szklane naczynia ogniotrwałe ukazały się już w sprzedaży i u nas.

---



# Dom i gospodarstwo

## BIERZ TO Z UŚMIECHEM

W życiu domowym niema bodaj nic cenniejszego ponad spokój i równowagę. Ich potomkiem w pierwszej linii jest harmonja, ten najrozkoszniejszy rytm życia, który stwarza nietylko znośne, ale nieomal że szczęśliwe warunki bytowania nawet przy bardzo skromnych możliwościach.

Gwarancją tej rytmicznej harmonji jest w pierwszym rzędzie *opanowanie i pogoda* pani domu która stwarza dokoła siebie *atmosferę*.

Nie przydadzą się na nic wszystkie współczynniki spokoju i ładu: wystarczający, pełen równowagi budżet; dobre wyposażenie gospodarstwa domowego; wyszkolona pomocnica; powolny regime'owi domownicy, jeżeli w samej pani domu drzemie iskra, która w każdej chwili grozi pożarem.

Pod-przyczyną bywa nieraz nadmiar życiowego temperamentu, zbyt duża nerwowość, a zasadniczą przyczyną zawsze i niezmiennie — brak opanowania, wyolbrzymione niejednokrotnie bezplanowością poczynania.

Pani domu opracowuje plan dni poszczególnych, które składają się na całokształt życia domowego, ale nie może zapominać, że ten plan to dopiero fundament, na którym własnymi, odpowiedzialnymi rękami musi wznosić dzień za dniem mocną i trwałą budowę.

Współdziałać i czuwać — to jest czołowe zadanie.

Może w krajach, które doszły już do posiadania zastępu standaryzowanej, wyszkolonej, odpowiedzialnej służby, wystarczy wprowadzenie osoby, podejmującej się zajęć domowych, w krąg przyzwyczajzeń, potrzeb i wymagań danego środowiska. U nas pojęcie o idealnym spełnieniu obowiązku i umiejętności takiego właśnie spełnienia wziętych na siebie czynności, jest, jak dotąd, naogół martwą literą.

Dlatego też nasza rola, a szczególnie rola kobiet, pracujących poza domem, staje się naprawdę trudna i odpowiedzialna z chwilą, gdy chcemy stanąć na wysokości zadania.

Jesteśmy, niestety, odosobnione w tej pionierskiej roli. Pomocy nie mamy prawie wcale, przeszkody nie trzążą się na naszej drodze z zadziwiająco szybkością.

Pierwszą zasadniczą przeszkodą jest brak solidarności pomiędzy domownikami, a domem. Rzadko kto, poza panią domu, rozumie, że dom nie jest beczką bez dna, z której

można czerpać łapczywymi rękami, nie licząc się z tem, że skarb prędeż, czy później wyczerpie się, jeżeli nie będzie zasilany. A takie nastawienie jest nieomal ogólnem w naszych przeciętnych środowiskach domowych.

Pani domu, jej ograniczony zwykle budżet i jej daleka od doskonałości pomocnica, to przeciwwaga ześrodkowanych w ognisku domowym potrzeb faktycznych, wymagań, a nieraz grymasów wszystkich domowników. Jeżeli ta główna sprężyna przestanie działać sprawnie chociaż na chwilę, mechanizm psuje się, a dezorganizacja zakłóca rytm i harmonję.

Krótkie spięcie powstaje z najróżnorodniejszych przyczyn, ale następuje tylko wtedy, jeżeli zawiedzie opanowanie, z czego wynikają zazwyczaj te charakterystyczne rozdźwięki domowe: wyrzekania, niesprawiedliwe, albo też zbyt ostro wypowiedane zarzuty, nietakty, które podrywają autorytet „władzy“, dyskredytują powagę, wyciskają trwałe piętno na ustosunkowaniu się do pani domu całego jej otoczenia.

Smutne to, ale prawdziwe, że rola pani domu nie dopuszcza „wyjścia z formy“. Musimy niezależnie od naszego stanu zdrowia, nerwów i humoru mieć jasne, pogodne, zrównoważone oblicze, które przeciwstawia się tak skutecznie chmurkom i chmurom na domowym horyzoncie. Każdy niedobór domowy, opromieniony pogodą, życzliwością i szczerem podejściem pani domu, zatracza ostre kontury. Natomiast władcza postawa, albo niewczesny wybuch nerwowości wobec faktów już dokonanych, ma które, niestety, niema doraźnego lekarstwa, zaostrzają sytuację w sposób przykry, a nieraz i trudny do rozwikłania.

Tajemnicą zachowania autorytetu, tak niezbędnego, począwszy od dzieci, a skończywszy nawet na zwierzętach domowych, jest unikanie rozkazów, które mogą być nieusłuchane. Jeżeli tylko wyczuwamy zarodek buntu, albo sprzeciwu, starajmy się „obejść“ drażliwe miejsce tak, aby nie wywołać konfliktu, z którego zazwyczaj wychodzimy pokonane.

Nie znaczy to bynajmniej, abyśmy miały zmieniać zasadniczą linię naszego postępowania. Jeżeli wola nasza, po spokojnym przemyśleniu, okaże się racjonalna i abdykować z niej nie zamierzamy, poszukamy tylko albo odpowiedniejszego momentu psychologicznego, albo formy, która odniesie pomysły

**Knorr**  
12 różnych gatunków zup  
z najlepszych naturalnych produktów jak grzyby, strączkowe, szynka, flusze itp. bez jakichkolwiek domieszek chemicznych, umożliwiają w kilku minutach przygotowanie smacznej potrawy.  
1 kostka 2 talerze tylko 20 groszy  
Na śniadanie znakomite płatki owsiane Knorr

ne skutki. Bo od tej właśnie formy zależy tak wiele.

Nieraz „rozkaz“ nie skutkuje, a perswazja odnosi cudowne wyniki; nieraz perswazja, czy prośba demoralizują, a rozkaz wywołuje bezapelacyjny posłuch.

Chodzi tylko o to, żeby pani domu była dobrym psychologiem i uzdolnionym pedagogiem, bo przecież wychowuje swoje otoczenie, zaczawszy od „głowy“, a skończywszy na pomocniczych rękach.

Nasza pedagogiczna psychologja musi być prześwietlona serdecznością i życzliwym uśmiechem. Uśmiech, wskazanie, jakim przeczucamy się od szeregu lat, powtarzając jedno drugiemu: „bierz to z uśmiechem“, nie są na żadnym może terenie tak bardzo pożądane, jak na terenie pracy i zainteresowań pani domu.

Nietylko uśmiech pogody, życzliwości, ale i umiejętność wyłuskania ziarna humoru z sytuacji, które ktoś, pozbawiony tej cennej pożywki intelektualnej, rozdmuchuje do rozmiarów tragedji, są współczynnikami dobrej atmosfery domowej.

Jest jeszcze jeden czynnik zasadniczy, bez którego „doskonałość“ pani domu będzie nieosiągalna, to: sprawiedliwość! Sprawiedliwość sądów i czynów nietylko w zastosowaniu do otoczenia, ale i do samej siebie.

Umiejętność oddania sprawiedliwości drugiemu i sobie to w dużej mierze podstawa pogody ducha. Kto ma w naturze ten błogosławiony „szósty zmysł“, nie zatraci uśmiechu i pogody ducha, bo nie stanie się nigdy pastwą niewczesnych żali i nie będzie nigdy w swoim poczuciu ofiarą. A ileż to ofiar krąży pomiędzy kuchnią, jadalnią, dziecinny i sypialnym pokojem, przeceniając swoje świadczenia, niedoceniając cudzych, pławiąc się z niezdrową rozkoszą w atmosferze samoudręki.

Nie żądać od drugich więcej, niż nam ze siebie dać mogą; dawać ze

siebie tyle, ile się danej sytuacji, czy ludziom należy, to czołowa podstawa dobrego samopoczucia i życzliwości względem otoczenia. Przy takim podziale nie będzie nigdy, na żadnym odcinku życia domowego, zawodów, które mają dar rozgoryczania. A w cóż przekształci się atmosfera domowa, jeżeli „dusza domu” będzie zaprawiona piółunem?

Trudna rola, to prawda. Ale strona psychiczna, to specjalne nastawienie i specjalne ustosunkowanie się do niej, ujęcie jej pod tym właśnie kątem to jedyna droga do względnego chociażby ideału.

Można wejść w życie bez podstawowych umiejętności gospodarskich, bo te dadzą się przy dobrej woli opanować, nie można rzadzić domem bez opanowania, serca, życzliwości, sprawiedliwości i uśmiechu. W takich warunkach nie stanie się on nigdy cichą, szczęśliwą przystanią — będzie zawsze bezdusznym, a często nawet nieznośnym ciężarem!

Wanda Dobrzańska.

## Przepisy kulinarne

### Herbata. Kawa po turecku.

Herbata. Trudno o popularniejszy napój, jak herbata, a jednak jakże rzadko herbata jest „nektarem”, jak często bywa marnem naśladownictwem tego, czem być powinna.

Dzieje się to z dwóch zasadniczych przyczyn: braku umiejętności i precyzji przyrządzania; nieprzywiązywania wagi do nabywanego gatunku herbaty.

Gatunek herbaty trzeba dobrać indywidualnie. Jedni będą się zachwycali herbatą o mahoniowym odcieniu, wyraźnie cierpkawym smaku, — drudzy szukają w niej nietyłe intensywnego koloru i zdecydowanej „mocy” ile specjalnego herbacianego aromatu. Odpowiednie tutaj będą gatunki jasne, których „naciąganie” nie uzewnętrznia się ciemną barwą.

Zresztą rodzaj apoteozowanej herbaty jest sprawą tak indywidualną, że dobór gatunku nie może być przez nikogo inspirowany — musi dokonać go sam „amator” i to na podstawie długich nieraz prób.

A teraz kwestja przyrządzania.

Punkt pierwszy: odpowiednie naczynia do przyrządzania, podawania i picia; punkt drugi: wtajemniczenie w misterjum obrządku herbacianego.

Dawne niezastąpione samowary zniknęły z horyzontów domowych. W dzisiejszych przeciętnych gospodarstwach, posiłkujemy się imbrykiem, w którym, na płycie kuchennej, czy gazowej fajerce, gotuje się, nieraz godzinami, woda na herbatę.

Oto już pierwszy błąd.

Wodę na herbatę trzeba zagotować w ostatniej chwili, natychmiast gdy się zago-

tuje, zmniejszy płomień pod imbrykiem, wyparzyć czajnik, wylać z niego wrzątek, wsypać herbatę, szczelnie przykryć i postawić na parze na 2 minuty. Po upływie tego czasu zalać herbatę wrzątkiem, dając go tylko tyle, aby przykrył liście herbaciane. Znowu poczekać 2 do 3 minut, trzymając czajnik na parze, a po upływie tego czasu dolać wrzątku, w ilości zależnej od dawki herbaty, przykryć go, ustawić na parze i czekać cierpliwie od 5 do 10 minut, zależnie od gatunku zaparzonej herbaty. Przez cały czas zaparzania woda w imbryku musi się gotować.

Przystępując do nalewania herbaty, rozpoczynamy od ustawienia, niedaleko imbryka, spodeczka, na którym będziemy stawiały czajnik w czasie nalewania herbaty. Nasze pomocnice (a czasem i my same) popielniamy zasadniczy grzech przeciwko elementarnemu porządkowi i higijenie — stawiamy czajnik, gdzie popadnie, na zatłuszczonej fajerce, na płycie kuchennej, a później bezpośrednio na „parze”, z którą wszystkie naleciałości spływają do wody.

Następna czynność to wyparzenie filiżanek, do których nalewamy esencję przez sitko (osadzone na dziobku czajnika, albo położone na filiżance). Lejąc wodę, nie wypełniamy nigdy filiżanki po brzegi, pamiętając o tem, że musi się jeszcze zmieszczyć w niej cukier, bez obawy wylania herbaty na spodek w czasie słodzenia i mieszania napoju.

Herbatę trzeba podawać w szybkim tempie. Jej wysoka temperatura to nieodzowna dla amatora cecha charakterystyczna, której bagatelizować nie wolno. Z tej właśnie przyczyny daleko cenniejsze są maszynki i samowary, albo samowarki: węglowe, spirytusowe, elektryczne, które pozwalają na przyrządzanie i nalewanie tego cudownego napoju przy stole jadalnym, a tem samym na zachowanie jego wysokiej, tropikalnej temperatury. Herbata nalewana „w kuchni” i przenoszona do pokoju zawsze zdąży wystygnać pomiędzy ustami, a brzegiem puharu.

Czystość naczyń służących do przyrządzania herbaty powinna być nienaganna. Specjalne naczynie do wody; czajniczek do zaparzania herbaty, który nie powinien stać z resztkami esencji, albo użytymi liśćmi herbacianymi, a musi być opróżniony po użyciu, czysto wymyty z zewnątrz i wewnątrz, wytarty nieużywaną ściereczką, albo jeszcze lepiej serwetką i ustawiony na „swoim” spodeczku, aby dno nie stykało się z nieczystościami.

Imbryk przeznaczony do gotowania wody na herbatę powinien być natychmiast po zużyciu wody wypłókniony, wypłókniony i odstawiony na bok. Nie gotujemy w nim wody przez dzień cały, chcąc mieć stale gorącą „pod ręką”. Używajmy do tego innego imbryka, albo naczynia, a ochronimy w ten sposób dno i ścianki naszego imbryka od tworzącego się na nich grubego nalotu kamienia, którego tak trudno pozbyć się radykalnie.

Ważny jest sposób przechowywania herbaty. Musimy ją izolować od dopływu

powietrza, trzymać w suchym miejscu w szczelnie zamkniętych puszkach, albo słojach szklanych, inaczej straci aromat, tę zasadniczą treść dobrej herbaty.

*Kawa po turecku.* Mało u nas znana, rzadko kiedy podawana nie budzi takiego entuzjazmu, na jaki zasługuje. Sekret tego wstrzemięźliwego odnoszenia się do orientального nektaru, leży niezawodnie w samym fakcie nieumiejętnego postępowania przy przyrządzaniu napoju, który wymaga zachowania wszelkich reguł, jak również i używania naczyń specjalnych. Tylko w takich warunkach kawa po turecku zachowa swoiste, cenne cechy.

Mielenie kawy, w tak zwanym „młynku tureckim”, jest tutaj już nie wskazaniem, a obowiązkiem. Młynek taki jest zaopatrzony w nadwyraz czuły regulator, który za pomocą specjalnej śrubki normuje mielenie, nadając mu najrozmaitsze skale.

Drugim nieodzownym współczynnikiem są specjalne miedziane naczynka zwężające się stopniowo ku górze. Zachowują one przepisowe rozmiary, równające się jednej filiżance do czarnej kawy. Dno takiego naczynia jest zawsze dwa razy szersze od wylotu, co powoduje opadanie sproszkowanej kawy na dno naczynia, w chwili nalewania kawy do filiżanek. Te misterne naczynka są zaopatrzone w przytwierdzone poziomo rączki drewniane wykonane z toczonego drzewa. Na dno takiego porcjowego (1 filiżanka) miedzianego naczynka wsypujemy 5 do 6 gramów dosłownie sproszkowanej kawy, wkładamy kawalek cukru rąbanego (z głowy), zalewamy kawę zimną wodą i ustawiamy naczynka na gorącej płycie kuchennej, albo fajerce gazowej przykrytej pełną fajerką. Chwila *zagotowania*, to chwila, w której trzeba zdjąć kawę z ognia i natychmiast podawać. Na tak przyrządzonej kawie formuje się obfita, aromatyczna piana, która stanowi rozkosz dla znawców amatorów. Kawę po turecku podaje się w miedzianych naczynkach, przelewając ją do silnie wygrzanych filiżaneczek w obecności osób, którym kawę podajemy.

Na kawę „po turecku” używa się zawsze ziarna najwyższego gatunku — kawy „na czarną”, znanej w handlu pod nazwą „Mocca”. Cukier tylko drobniutko rąbany z głowy.

Wykwintny aromat kawy podawanej po turecku polega na tem, że błyskawiczny, bo zaledwie do trzech minut trwający proces naparzania, wydobywa z kawy najwytworniejszy jej smak i aromat, do czego przyczynia się też w niemałej mierze, gotowanie kawy w tak małych, jak powyżej wskazane, dawkach.

Gdybyśmy naprzykład, stosując się ściśle do zasad przyrządzania kawy po turecku, chciały zaparzyć od razu litr kawy, skutek zamiast dodatniego okazałby się ujemny, gdyż okres czasu, jakiego wymaga zagotowanie litra wody, wystarczyłby kompletnie do zabicia tych właśnie najwytworniejszych i najcenniejszych aromatów.

Melba.



## PIERWSZA LECZNICA

Kosmetyczna i Chorób Włosów  
Dr. med. M. Biernackiej i Dyr. I. Kisielewskiej  
Warszawa, Szopena 16.

## Z DZIEDZINY KOSMETYKI

**Ciemnej:** Wody utlenionej do rozjaśnienia włosów używać nie wolno, gdyż daje brzydkie płowy kolor, a następnie niszczy włosy, które się kruszą i łamią. Najlepiej stosować płyn *Hella*, który włosów nie niszczy i daje śliczny blond kolor ze złotawym odcieniem.

**Dzikiej:** Ze wszystkich depilatorów, najlepszy jest *Epil Max*, który w ciągu 3-4 minut niszczy włosy, nie wywołując żadnego podrażnienia i zaczerwienienia skóry.

Pod puder radzę używać *Krem Seta*, który wciera się do sucha i doskonale utrzymuje puder. Tłustych pudrów wogóle nie radzę używać, gdyż przy stałym stosowaniu, rozszerzają pory i wywołują tak zwaną tłustą cerę.

**Wągrowatej:** Wygubi pani zupełnie wągry i ciemne punkciki w okolicach nosa, myjąc twarz na noc w ciepłej wodzie *otrąbkami Abaridowemi*. Po wytarciu, wtrzeć troszkę kremu *Abaridowego*, przypudrować pudrem *Abaridowym*. Rano twarzy nie myć, ale wytrzeć watą zwilżoną *wschodnim piynem Mimosa*.

**Ciemnej:** Najwięcej zniszczone ręce doprowadzi Pani w ciągu 2-3 dni do idealnego stanu, stosując *krem prałatón Perfection*. Puder do mycia i odtłuszczenia włosów na sucho nazwać się „*Florentin*”. Wtrzępuje go się we włosy ręką, a następnie wyczesuje szczotką i gęstym grzebieniem.

**Pani Zofji L.:** Zęby wybielił pani w ciągu kilku dni, stosując proszek *Albol*, który nie tylko bieli zęby, ale i doskonale je konserwuje. Jeżeli pani używa jednocześnie eliksiru, co jest bardzo wskazane, to najlepiej radzę *eliksir Anidol*.

*M-me Ercèdes.*

## Walny zjazd „Rodziny Policyjnej”

W Warszawie odbył się nadzwyczajny walny zjazd „Rodziny Policyjnej” przy udziale delegatek kół stowarzyszenia z terenu całej Rzplitej.

Po otwarciu zjazdu i powitaniu gości przez dotychczasową przewodniczącą zarządu głównego, p. J. Maleszewską nastąpiło odczytanie depesz hołdowniczych do P. Marszałka Piłsudskiego i Pani Marszałkowej Piłsudskiej.

Następnie przystąpiono do odczytania sprawozdań z działalności organizacji w poszczególnych okręgach oraz sprawozdań kasowych za rok ubiegły.

Ze sprawozdań tych wynika, że „Rodzina Policyjna” położyła w swej dotychczasowej działalności wielkie zasługi na tym odcinku pracy społecznej.

Po odczytaniu sprawozdań dłuższe przemówienie wygłosiła ustępująca z dotychczas zajmowanego stanowiska p. Maleszewska, dziękując w serdecznych słowach zebranym paniom za współpracę. Z kolei przemawiały delegatki poszczególnych kół stowarzyszenia, dziękując w ich imie-

niu p. Maleszewskiej, jako założycielce stowarzyszenia i długoletniej przewodniczącej zarządu głównego, za poniesione trudy.

Mile wrażenie wywarło pożegnanie i wręczenie kwiatów ustępującej p. Maleszewskiej przez dzieci z sierocińca „Rodziny Policyjnej” w Skolimowie.

Po przerwie zjazd przystąpił do wyboru nowej przewodniczącej zarządu głównego. Przez aklamację została nią wybrana gen. L. Zamorska, małżonka komendanta głównego p. p.

P. Zamorska przyjęła wybór i w gorących słowach zapewniła uczestniczki zjazdu, że wszystkie swe siły poświęci, aby dalsza działalność i rozwój „Rodziny Policyjnej” szły po linii wytkniętej przez jej założycielkę, p. Maleszewską.

Na tem zamknięto obrady.

## Organizacja samokształcenia

W Instytucie Oświaty Pracowniczej odbyła się Konferencja z przedstawicielami zarządów pracowników umysłowych w sprawie akcji oświatowej przy udziale delegatów Kuratorium Zarządu Szkolnego Warszawskiego, Powszechnego Uniwersytetu Korespondencyjnego, oraz Związku Bibliotekarzy Polskich.

Prezes I. O. P. p. Artur Fromm w zagraniu podkreślił doniosłość systematycznej akcji w zakresie samokształcenia ogólnego i zawodowego zwłaszcza wśród pracowników umysłowych, poczem szczegółowo omówiony został sam projekt akcji.

W rezultacie dyskusji postanowiono ukonstytuować przy I. O. P. Radę Oświatową, która zajmie się realizacją programu samokształceniowego. Związki zawodowe wydelegowały swych przedstawicieli do Rady przed dn. 1 marca r. b.

## KURS HODOWLI ROŚLIN POKOJOWYCH I BALKONOWYCH.

Zwyczajem dorocznym Koło Miłośników Ogrodnictwa urządza Kurs Hodowli Roślin Pokojowych i Balkonowych.

Kurs dostarczy wskazówek o pielęgnowaniu, przesadzaniu, rozmnażaniu roślin w mieszkaniach w zakresie potrzeb miłośników, o pielęgnowaniu roślin ozdobnych z liścia (palmy, araukarje, draceny i t. p.), roślin kwitnących cebulkowych i kłączowych, paproci, kaktusów oraz roślin kwitnących jednorocznych i wieloletnich. Poza tem będzie wykład o zdobieniu balkonów, o zwalczaniu chorób i szkodników, a dla osób zapisujących się na cały Kurs — ćwiczenia praktyczne przesadzania roślin.

Kurs rozpocznie się dnia 15 marca r. b.

## BIBLIOTEKA WYDAWNICTW POLSKIEGO ZWIĄZKU WYDAWCÓW DZIENNIKÓW I CZASOPISM

JAKO TOM III BIBLIOTEKI wyszła z druku praca

**ROMANA STARZYŃSKIEGO**  
b. dyrektora Polskiej Agencji Telegraficznej

# „Agencje Informacyjne”

Dzieje, stan obecny i znaczenie prasowych agencji informac.  
1835 — 1935

TREŚĆ:

- I. Dzieje agencji informacyjnych
- II. Międzynarodowy związek agencji informacyjnych
- III. Obecny stan agencji
- IV. Organizacja wewnętrzna agencji
- V. Technika prac agencji
- VI. Rola i znaczenie agencji w życiu politycznym

**Cena egz. zł. 4.00**

Do nabycia w większych księgarniach i w biurze Polskiego Związku Wydawców Dzienników i Czasopism  
Warszawa, Krakowskie Przedmieście 40

Wykłady będą się odbywały w poniedziałki, środy i piątki od godz. 6-8 wiecz. w lokalu Tow. Ogrodn. Warz. — Bagatela 3. (I piętro).

Pozatem w pierwszej połowie kwietnia r. b. urządzony będzie Kurs Pielęgnowania Róż w ogrodach.

Zapisy i informacje: Biuro K. M. O. Al. Jerozolimskie Nr. 20 m. 16, tel. 652-70, Kierowniczką Kursu p. Wysocka — tel. 840-16 (ul. Krzyckiego 11), Skład Nasion Bei Chomicz — Zgoda 8, Skład Nasion C. Ulrich-Sienkiewicza 11, oraz w dniu rozpoczęcia wykładów na miejscu — Bagatela 3 (I piętro).

## SŁOWNIK BIOGRAFICZNY.

Nakładem Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie zaczął się ukazywać w ostatnich czasach w zeszytach Polski Słownik Biograficzny.

Słownik ma pomieścić około 20.000 zwiezłych życiorysów z charakterystyką ludzi oraz podaniem bibliografii i źródeł. Wejdą doń wybitniejsi Polacy wszystkich czasów, warstw społecznych, dzielnic i zawodów.

Odpowiednie materiały informacyjne (przedewszystkiem zaś numery jubileuszowe, wspomnienia pośmiertne, artykuły o jubileuszach pracy i t. p.) nadsyłać należy pod adresem: Redakcja Polskiego Słownika Biograficznego (biuro wydawnictw Polskiej Akademii Umiejętności) w Krakowie, Sławkowska 17.

Skończyły się troski  
młodych matek!

## KALENDARZ

## DZIECKA I MATKI

NA  
LATA **1935-36**

da im wszelkie wyczerpujące  
wskazówki żywienia i pielęgnacji  
niemowląt i dzieci  
do lat 7-ми

350 str.

Cena 3 zł.

Zamawiać i nabywać można w  
Tow. Wyd. „BLUSZCZ”  
W-wa, Solec 87 i Świętokrzyska 17  
oraz we wszystkich większych księ-  
garniach i kioskach „RUCH”

Niezbędny dla każdej Matki to

DWUTYGODNIK

## „DZIECKO I MATKA”

Przynosi w każdym numerze nawskroś  
życiowe wskazówki wychowawcze, uczy  
ją współżyć z dzieckiem, nieustannie  
czuwa nad jego rozwojem fizycznym.

Redakcja: W-wa, Solec 87 — Administracja:  
Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17

WARUNKI PRENUMERATY:

miesięcznie zł. 1.40

kwartalnie „ 4.—

rocznie „ 16.—

Konto P. K. O. Nr. 12.900.

## Bacność!

### Miłośniczki roślin pokojowych

Towarzystwo Wyd. „Bluszcz”  
poleca doskonale podręczniki:

Zwalczanie szkodników i chorób roślin poko-  
jowych

Cena 90 gr.

Kalendarz roślin pokojowych

Cena 90 gr.

Jak należy podlewać rośliny pokojowe

Cena 90 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „Bluszcz”, W-wa, Solec 87  
i Świętokrzyska 17, oraz we wszystkich większych  
księgarniach i kioskach „Ruch”.

## Najprawdziwszy obraz wojny

daje książka p. t.:

## „MILKNĄCE

## ECHA”

STANISŁAWA KAWCZAKA

Wydane nakładem Tow. Wy-  
dawniczego „BLUSZCZ”

Cena 8 zł., z przesyłką pocztową 8,40

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ” So-  
lec 87 i Świętokrzyska 17, oraz we wszystkich  
większych księgarniach.